NR 21 (1945) 26 MAJA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT



Proj. Zygmunt Zaradkiewicz

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

W obronie szkolnictwa ZAWODOWEGO

TYSOL.PL

- WIELKA MANIFESTACJA „S” W WARSZAWIE
- JAK PRZEKUPIĆ PIĘKNODUCHÓW

eprasa.pl 477b630995

REPUBLIKA

Zapraszamy na autorski program publicystyczny
Tomasza Sakiewicza dla widzów, którzy chcą wiedzieć więcej.
Polityka bez filtrów. Najważniejsze tematy. Mocne opinie. Analizy,
które mają znaczenie. Rozmowy, które wyznaczają kierunek debaty.



PONIEDZIAŁEK
18:00
w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 477b630995



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Jeszcze dwa lata temu obecna władza chętnie mówiła o sobie „my, demokraci”. Ostatnio mam wrażenie, że już nawet oni sami zaczęli porzucać tę miłą uchu etykietkę. Jeszcze czasem ten czy ów się zapomni i ględzi coś o „stronie demokratycznej”. Ale to bardziej siłą językowego przyzwyczajenia niż z przekonania o głębszym przywiązaniu uśmiechniętych do władzy ludu, parlamentarnych procedur czy konstytucji.

Także ostatnie wydarzenia pokazują po raz kolejny, że tacy z uśmiechniętej władzy demokraci jak – przepraszam za wyrażenie – z mysiej piczki rajzentasza. Niemal w tym samym czasie, gdy ulicami Warszawy przechodziło ponad 200 tysięcy uczestników demonstracji Solidarności przeciwko rozwiązaniom klimatycznym UE, polski Senat (co za przypadek!) odrzucał radośnie prezydencki wniosek o ogólnopolskie referendum w tej samej sprawie. Samozwańczy „demokraci” bezpiecznie odgrodzeni kordonem policji od ludzi, których powinni reprezentować, powiedzieli, że Polki i Polacy nie mogą odpowiedzieć na pytanie, czy chcą dalej płacić coraz wyższą cenę za klimatyczne aspiracje Europy. Cenę liczoną w coraz droższych rachunkach za prąd, wygaszanej produkcji i znikających miejscach pracy w przemyśle.

Warto zapisać w tym miejscu nazwiska tych „demokratów”, którzy jak diabeł święconej wody boją się referendum w sprawie zielonej polityki. 39 senatorów KO z przybudówkami. Wśród nich wiele znanych nazwisk: Stanisław Gawłowski, Grzegorz Schetyna, Adam Bodnar, Bogdan Borusewicz, Tomasz Grodzki czy Małgorzata Kidawa-Błońska. To także cały w komplecie senacki klub Lewicy z Magdaleną Biejat, Waldemarem Witkowskim i Wojciechem Koniecznym na czele. To także cała (prócz jednego nieobecnego) Trzecia Droga, która w praktyce parlamentarnych głosowań nigdy żadną trzecią drogą nie jest. Wśród nich Kazimierz Michał Ujazdowski, Michał Kamiński czy Waldemar Pawlak. Nie mogło też zabraknąć „niezrzeszonego” (od niedawna) senatora Tomasza Lenza. Tego od wpychania się do kolejki do zabiegu w publicznej służbie zdrowia.

Wymieniam ich z nazwiska, by trudniej im było w przyszłości znów z serduszkami w klapie ruszyć na przyszłe marsze miliona, miliarda czy tryliona serc (albo co tam innego wymyślą) w obronie polskiej demokracji. Trzeba im wtedy przypominać, jak głosowali w tak ewidentnie prodemokratycznej inicjatywie jak referendum w sprawie polityki klimatycznej. A właściwie nie tyle im – bo oni to sobie wszystko oczywiście już łatwo wytłumaczyli, twierdząc, że pytanie referendalne było nie takie, jak trzeba (to czemu nie zaproponowali własnego?), albo utrzymując, iż prezydencki projekt nie jest głosem obywateli, tylko „politykowaniem Nawrockiego” (jakoś to, że przyszła z tym referendum do prezydenta Solidarność, w tej interpretacji zostało wygumkowane).

Niemal w tym samym czasie, gdy ulicami Warszawy przechodziło ponad 200 tysięcy uczestników demonstracji Solidarności przeciwko rozwiązaniom klimatycznym UE, polski Senat (co za przypadek!) odrzucał radośnie prezydencki wniosek o ogólnopolskie referendum w tej samej sprawie.

To głosowanie trzeba będzie przypominać ludziom. W tym także wczorajszym i dzisiejszym wyborcom uśmiechniętej większości, bo wśród ludzi opór wobec wychodzących na wierzch kosztów unijnego klimatyzmu stale rośnie. I bardzo możliwe, że ci wczorajszo-dzisiejsi wyborcy nie będą już dzięki temu jutrzejszymi wyborcami tych naszych farbowanych demokratów.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl 477b630995

26.05.2026
WYDANIE Nr
21

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

W obronie szkolnictwa zawodowego



10 Zapaść szkolnictwa zawodowego
14 Szkolnictwo zawodowe musi nadążać za rzeczywistością. Rozmowa z P. Olbrysiem
18 Epoka użyteczności
22 Rewanż robotniczego blokowiska
26 Korpo zaczęło się od rzemiosła

WYDARZENIE TYGODNIA:
Naród znów zjednoczył się pod sztandarami Solidarności 66

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”
Nawet trawa nie wyrośnie!... 30

KRAJ
Kryptodyktatura już nie krypto 32
Jak przekupić pięknoduchów 36
Jak pokonać męczącą się władzę? 40
Najlepsze samorządy nagrodzone na Zamku Królewskim 44

ZAGRANICA
Gospodarka, głupcze! Maksyma Clintona zdefiniuje wybory do Kongresu 48

KULTURA
Nie chcę być artystką pod algorytmy. Rozmowa z J. Chabą 52
Poznajmy się jeszcze raz. Recenzja filmu „Drama” 56
Pan autorytet patrzy na robotnika 58

SPOŁECZEŃSTWO
Świadkowie Jehowy – pogubieni czy groźni? 62

HISTORIA
Zakochani w wolnej, suwerennej i niepodległej Rzeczypospolitej 66

ZWIĄZEK
Co w związku 70

FELIETONY:

OKRASKA 5
GAC 21
SKWIECIŃSKI 35

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO 46
KARUZELA Z BLOGERAMI 51
ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 61
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 65
GŁOS REGIONU 72
PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 477b630995

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Remigiusz Okraska

Lewicowa elita się wypina

Zdarzyła się sprawa o znikomym znaczeniu, a zarazem bardzo symboliczna i wiele mówiąca. Warszawska centrala „Krytyki Politycznej" postanowiła zlikwidować swój oddział lokalny – świetlicę w Cieszynie.

Dawno temu to samo środowisko zachęcało grupy sympatyków do prowadzenia działań lokalnych. I wspierało je w tym. Bardzo się tym chwalili.

Tak zwane świetlice „Krytyki Politycznej" działały od Trójmiasta, przez Łódź, po właśnie Cieszyn. Mogli więc powiedzieć: nie jesteśmy tylko warszawskim salonem – mamy struktury także w niebogatych i niedużych miejscowościach. Pomagamy im utrzymać lokale, w których coś się dzieje.

Od pewnego czasu świetlice znikały. Aż została tylko ta w Cieszynie. Na tle stołecznej centrali ponadprzeciętnie często organizowała wydarzenia mające związek z troskami zwykłych ludzi. Prowadziła darmowe zajęcia dla dzieci, półkolonie, amatorskie zajęcia teatralne. I w ogóle robiła sporo jak na skalę niedużego ośrodka.

Aż centrala zdecydowała, że koniec tego dobrego. Po 17 latach cieszyńska placówka kończy działalności.

Gdy nie wiadomo, o co chodzi – zapewne chodzi o pieniądze. Po co partycypować w kosztach działania jakichś prowincjuszy, choćby nawet liberalno-lewicowych. Warszawska elita ma ważniejsze wydatki – na samą siebie.

Mowa o organizacji bogatej. Coroczne budżety „Krytyki Politycznej" wynoszą kilkanaście milionów. Ogromna część to dotacje od „samych swoich": Unii Europejskiej, niemieckich fundacji, z funduszy miliardera-spekulanta George'a Sorosa. Obecnie spory strumień płynie także od rządu neoliberała Donalda Tuska. Znikomy odsetek to środki pozyskane od szeregowych sympatyków. Modelowa wydmuszka.

Nawiasem mówiąc, zwycięzca ostatnich wyborów, Prawo i Sprawiedliwość, powinien otrzymywać rocznie niespełna 26 milionów złotych dotacji budżetowej w zamian za poparcie wynoszące ponad 35%, czyli co trzeciego głosującego.

Finansowanie partii politycznych przez zagranicę jest zakazane. Można za to do woli finansować „organizacje pozarządowe". Te dotowane podmioty nie kryją poglądów i działają na rzecz jednej opcji. W efekcie „Krytyka Polityczna", pozbawiona jakiegokolwiek mandatu społecznego, operuje corocznie połową kwot, które ma do dyspozycji partia zwycięska w wyborach.

Ma więc dużo pieniędzy na wszystko. Z wyjątkiem finansowania świetlicy w Cieszynie.

To drobiazg, ale jakże symboliczny. Pokazuje on w jaskrawy sposób, na co bogata lewica ma pieniądze, a na co nie zamierza ich przeznaczać.

To także symbol szerszej zmiany. Dawna lewica stawała po stronie słabszych i przegranych. Później coraz bardziej przestawała być formacją takich grup i środowisk. Odstręcza je właściwie wszystkim: od swojej nadętej elitarności, przez zblatowanie z antyspołecznymi liberałami, a kończąc na coraz bardziej dziwacznych postulatach.

Dzisiaj lewica jest w centrum, nie na peryferiach. Nawet dość liberalny Cieszyn i podobne niewielkie miejscowości nie są interesujące dla lewicowej stołecznej klasy panów.

Afroamerykanin zrobił swoje, Afroamerykanin może odejść.

eprasa.pl 477b630995

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Fot. M. Żegliński

Naród znów zjednoczył się

pod sztandarami SOLIDARNOŚCI

Zorganizowany przez Solidarność marsz wsparły bardzo licznie organizacje społeczne i patriotyczne oraz przedstawiciele środowisk niepodległościowych. Według danych organizatorów w wydarzeniu wzięło udział **230 tysięcy osób**.

Agnieszka Żurek

eprasa.pl 477b630995

W marszu „Razem dla Polski i Polaków” wzięli udział członkowie i sympatycy Solidarności, przedstawiciele środowisk niepodległościowych – m.in. Ewa Tomaszewska, prof. Wojciech Polak, Adam Borowski, prezes zarządu stowarzyszenia „Klub Dam i Kawalerów Krzyża Wolności i Solidarności” Piotr Wójcik i inni zasłużeni dla Ojczyzny działacze podziemia.


Fot. T. Gutry

Bóg, Honor, Ojczyzna

– Władza zwierzchnia należy do narodu! – przypomniał w swoim przemówieniu wygłoszonym przed siedzibą Senatu RP prezes Instytutu Kultury Prawnej Ordo Iuris mec. Jerzy Kwaśniewski, wskazując, że to doskonały znak, iż Polacy ponownie jednoczą się pod sztandarami Solidarności, walcząc o te same wartości. Wyraził nadzieję, że to początek „długiego marszu” o odzyskanie suwerenności i że odrzucenie Zielonego Ładu pociągnie za sobą odrzucenie także unijnego obszaru edukacji i innych instrumentów kontroli społecznej narzucanej przez Brukselę poszczególnym krajom członkowskim w UE.

– Bóg, Honor, Ojczyzna! – przypomniał szef Młodzieży Wszechpolskiej Marcin Osowski, zaznaczając, że w tym haśle zawierają się fundamenty naszego narodu, które mamy obowiązek obronić dla nas i dla przyszłych pokoleń. – Demokracja to rządy ludu, przez lud i dla ludu – przypomniał z kolei prof. Zbigniew Krysiak, prezes Instytutu myśli Schumana, cytując słowa Abrahama Lincolna i wskazując na ich ponadczasową aktualność. Prof. Krysiak wskazał również na konieczność walki o zachowanie narodowej tożsamości w obliczu zagrożenia nowym, unijnym komunizmem.

W manifestacji wzięło udział wielu przedstawicieli władz państwowych i samorządowych, m.in. wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak, posłowie Dorota Arciszewska-Mielewczyk, Mariusz Błaszczak i Mateusz Morawiecki z Prawa i Sprawiedliwości, a także grupa przedstawicieli Konfederacji z posłem Krzysztofem Szymańskim i wielu innych. Marsz „Razem dla Polski i Polaków” wyruszył 20 maja w samo południe z Placu Zamkowego w Warszawie i około godziny 14.00 dotarł przed siedzibę parlamentu, gdzie uczestnicy manifestacji zaapelowali do senatorów o wyrażenie poparcia dla prezydenckiego wniosku o referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej. Po zakończeniu manifestacji przewodniczący NSZZ „Solidarność” Piotr Duda odwiedził „Miasteczko Gniewu” zorganizowane przed Kancelarią Premiera przez Ruch Obrony Granic i wyraził poparcie dla protestujących.

W demonstracji uczestniczyli przedstawiciele organizacji patriotycznych i społecznych – m.in. członkowie Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, Kluby „Gazety Polskiej”, Młodzież Wszechpolska, Ruch Obrony Granic i inni. Głos zabrali reprezentanci górniczej i oświatowej Solidarności i innych związków zawodowych, którym bliskie są solidarnościowe idee i postulaty. Prelegenci poruszali kwestie związane z zabójczą dla gospodarki unijną polityką klimatyczną, ale wskazywali również na problemy dotyczące polskiej suwerenności, godności pracowników, edukacji, przemysłu, a przede wszystkim – wartości i tożsamości narodowej, atakowanej obecnie na wielu poziomach. Podczas

Podczas manifestacji przedstawiciele Fundacji Promocji Solidarności rozdali kilka tysięcy **oporników** – symbolicznie nawiązując do znaku noszonego podczas stanu wojennego przez członków i sympatyków podziemia antykomunistycznego.

eprasa.pl 477b630995

manifestacji przedstawiciele Fundacji Promocji Solidarności rozdali kilka tysięcy oporników – symbolicznie nawiązując do znaku noszonego podczas stanu wojennego przez członków i sympatyków podziemia antykomunistycznego.

– Szczęść Boże, Polsko! Razem dla Polski i Polaków! Po tym pięknym zawołaniu spotykamy się w Warszawie, aby głośno wykrzyczeć: My chcemy referendum, bo to jest nasze prawo zagwarantowane w artykule 125 konstytucji, ale także w artykule 4 konstytucji, który mówi o tym, że suweren sprawuje władzę w naszym kraju bezpośrednio lub pośrednio przez wybranych polityków – powiedział do zgromadzonych przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" Piotr Duda. – W sprawie polityki klimatycznej my jako suweren chcemy się wypowiedzieć bezpośrednio, a nie przez polityków. Dlatego spotykamy się dzisiaj tutaj, w Warszawie, aby to głośno wykrzyczeć – dodał.



Fot. M. Żegliński

Prezydent jest głosem społeczeństwa

Odwołując się do przemówienia prezydenta RP w sprawie unijnej polityki klimatycznej, szef Solidarności podkreślił, że Karol Nawrocki jest w tej kwestii głosem społeczeństwa. – Tak, dzisiaj przyszło tutaj społeczeństwo, przyszło przed budynek Sejmu i Senatu, aby głośno powiedzieć: nie ważcie się głosować przeciwko rozpisaniu referendum w sprawie Zielonego Ładu. My jako obywatele, jako Polacy, domagamy się tego referendum, bo mamy do tego prawo – podkreślił.

Szef Solidarności wyraził jednak obawę, że przedstawiciele obecnej władzy nie wezmą pod uwagę głosu narodu. – Widzę, co dzieje się w naszym kraju, jak depczą, jak niszczą prawo, jak depczą i niszczą konstytucję. Można się po nich spodziewać wszystkiego, co najgorsze. Będą służyć swojemu panu, którym jest Donald Tusk – stwierdził.


Fot. T. Gutry

Piotr Duda wyraził jednocześnie uznanie dla prezydenta, wskazując, że jest on w jego opinii rzadkim przykładem polityka, który dotrzymuje słowa. – Karol Nawrocki w umowie programowej z Solidarnością zobowiązał się, że wystąpi do Senatu o rozpisanie referendum w sprawie polityki klimatycznej. Ten postulat był bardzo ważny, jest bardzo ważny, bo on dotyczy nas wszystkich. Dotyczy górnika, hutnika, ale i nauczyciela, pracownika służby zdrowia i wszystkich zawodów w naszym kraju – podkreślił szef Solidarności. – Bo ten drapieżny Zielony Ład, ten przekręt unijny wpływa negatywnie na całą naszą gospodarkę. Dlatego musimy działać razem, stąd nasze hasło: „Tylko razem!". W jedności siła i tego najbardziej bał się i boi się rząd Donalda Tuska. Tego, że będziemy razem, że będziemy jednością – zaznaczył Piotr Duda. – Dzisiaj rozpoczynamy

eprasa.pl 477b630995

ten marsz po to, abyśmy faktycznie my, jako obywatele w naszym kraju, stanowili prawo, a nie żebyśmy byli ciemiężeni i wykorzystywani – dodał, wskazując, że ciężko zapracowaliśmy w Polsce na nasz rozwój gospodarczy i nie możemy pozwolić sobie odebrać owoców tej pracy.

– Polscy rolnicy chcą produkować polską żywność! – podkreślił w swoim przemówieniu doradca prezydenta RP, przewodniczący Solidarności Rolników Indywidualnych Tomasz Obszański. Wskazał on, że umowa z Mercosurem jest skrajnie niekorzystna dla rolników i stanowi zagrożenie dla polskiego bezpieczeństwa żywnościowego. – Ta umowa jest bardzo niekorzystna dla polskich rolników i dla polskich przedsiębiorców, dlatego że ona niszczy polskie rolnictwo poprzez wprowadzanie produktów z krajów Mercosur – z Brazylii, z Urugwaju etc. Są to produkty niskiej jakości. Nie ma na to naszej zgody, nie ma też zgody na to, żeby upadały polskie gospodarstwa produkujące zdrową żywność – zaznaczył.



Fot. M. Zegliński

Zielony Ład do kosza

– Smutne senatorki i smutni senatorowie za chwilę będą debatować nad czymś, co jest sprawą oczywistą. Bo dla każdego Polaka, dla każdej Polki jest oczywistą sprawą, że oto senatorowie dostali od was głos, aby was słuchać, aby słuchać głosu obywateli – powiedział w swoim przemówieniu przez budynkiem Senatu przewodniczący Regionu Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ „Solidarność" Dominik Kolorz. – Niestety, taki mamy system w naszym kraju i takich wybraliśmy senatorów, że oni będą słuchać swojego wodza partyjnego, tego najważniejszego, tego „zakutego", który nazywa się Donald Tusk. Nie będą słuchać was, obywateli. Nie będą postępować zgodnie z głosem ludu, tylko będą postępować zgodnie z głosem partii – stwierdził. – Czy wam, starszym ludziom, czegoś to nie przypomina? Kiedyś już tak było, że najważniejszy był głos partii, a nie ludzi. I teraz jest dokładnie tak samo. Prędzej czy później, tak jak powiedział Piotr Duda, dojdzie do takiej sytuacji, że tak jak wygraliśmy emerytury, tak wyrzucimy Zielony Ład do kosza – zapowiedział. – Nie przyjdą dzisiaj, my przyjdziemy tu jutro. Nie przyjdą jutro, my przyjdziemy tu za tydzień. I przyjdziemy jako obywatele, po raz kolejny, być może z obywatelskim wnioskiem dotyczącym rozpisania referendum – zaznaczył.

Dominik Kolorz wskazał, że senatorowie powinni poczuć na własnej skórze konsekwencje swoich działań i zaniechań. – Jeśli zagłosują za odrzuceniem wniosku pana prezydenta dotyczącego rozpisania referendum w sprawie polityki Zielonego Ładu, to te kilkaset tysięcy ludzi, którzy dzisiaj tutaj są, ma obowiązek odwiedzić w każdym swoim miejscu zamieszkania tego senatora, który głosował przeciw referendum. I ma obowiązek zrobić wszystko, żeby ci ludzie nie byli już nigdy wybrani na żadne polityczne stołki – podkreślił.

Niestety, tak jak przewidywała Solidarność, senatorowie odrzucili wniosek prezydenta Karola Nawrockiego o rozpisanie ogólnokrajowego referendum ws. polityki klimatycznej UE. Za odrzuceniem wniosku głosowało 62 senatorów, za przyjęciem – 32, jeden zaś wstrzymał się od głosowania.

Szef gabinetu prezydenta Paweł Szefernaker podczas przemówienia w Senacie powiedział, że referendum w sprawie Zielonego Ładu jest konieczne i że prezydent, składając wniosek o jego przeprowadzenie, sięgnął po najwyższy instrument w demokracji, „po bezpośredni głos ludu". – Energia jest fundamentem życia gospodarczego i społecznego. Jest jasne, że kiedy będą rosnąć ceny energii, będą rosnąć koszty wszystkiego. Dlatego skutki Zielonego Ładu odczuwają wszyscy. I właśnie dlatego to pytanie musi być oddane obywatelom – argumentował.

Wyniki głosowania senatorów przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" Piotr Duda skomentował krótko: – Mieliście do wyboru hańbę albo wojnę z Brukselą. Wybraliście hańbę, a wojnę i tak będziecie mieli – z narodem.

eprasa.pl 477b630995

Temat Tygodnia

ZAPAŚĆ szkolnictwa zawodowego

W cieniu sporów politycznych i wojenek medialnych po cichu **dojrzewa poważne zagrożenie** dla funkcjonowania polskiej gospodarki. Szkolnictwo zawodowe przeżywa największy od lat kryzys. Jak tak dalej pójdzie, to możemy zostać bez fachowców.

Jakub Pacan



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 477b630995

Po wejściu Polski do UE polscy fachowcy stali się najbardziej rozpoznawalną marką naszego kraju w państwach tzw. Starej Unii do tego stopnia, że brytyjscy lekarze, francuscy i holenderscy rzemieślnicy, personel medyczny w Europie głośno protestowali przeciw taniej konkurencji znad Wisły. Polscy pracownicy byli nie tylko tańsi, byli też bardzo dobrymi fachowcami z wysoką kulturą pracy i wydajnością, o której w Europie już dawno zapomniano.

Polish service

Doszło nawet do tego, że Polska Organizacja Turystyczna stworzyła postać modela – polskiego hydraulika – promującego Polskę w Europie. Na plakacie przystojny mężczyzna z kluczem francuskim w dłoni mówi: „Je reste en Pologne, venez nombreux", czyli „Zostaję w Polsce, przyjeżdżajcie licznie". Hasło stało się hitem i zrobiło furorę nie tylko nad Sekwaną, lecz także w całej Europie. Później powstawały wariacje na temat rodzimych fachowców i złotych rączek – m.in. polskich pielęgniarek czy polskich elektryków.

Zjawiska te pokazały jednak bardzo ważną prawdę, o której jako społeczeństwo cierpiące na braki poczucia wartości w wielu dziedzinach życia nie zdajemy sobie sprawy do dzisiaj. Otóż szkolnictwo zawodowe w Polsce się udało i nawet w czasach siermiężnego PRL było na wysokim poziomie na tle całej Europy. Lekceważone zawodówki wypuszczały fachowców, których kraje Europy Zachodniej brały w ciemno.

W czasach PRL były legendy, jak w liceach medycznych krążyła giełda adresów do skandynawskich placówek ochrony zdrowia, do których część absolwentek była przyjmowana od razu. Na Górnym Śląsku wielu uczniów szkół zawodowych jeszcze przed ukończeniem nauki wiedziało, że swój zawód realizować będzie w Niemczech, w których była już ich rodzina, a państwo niemieckie z pełnym zaufaniem wpuści na swój rynek pracownika z polskimi „papierami".

– W czasie PRL istniała taka instytucja jak „Polservice", która wysyłała polskich pracowników za granicę do pracy. Warunek był jeden – brali tylko fachowców. I myśmy wysokiej klasy fachowców kształcili. Gwarancję jakości dawał egzamin i dokument czeladnika. Przez lata w ramach wymiany szkolnej kraje europejskie bardzo chętnie przysyłały do nas swoich uczniów na praktyki nauki zawodu. Mocno korzystali z tego Niemcy, którzy bardzo cenili nasz system szkolnictwa zawodowego. Z kolei wszyscy absolwenci kierunków budowlanych w Polsce – od murarza, przez cieślę, po operatora ciężkich maszyn budowlanych – byli poszukiwani przez pracodawców z Europy Zachodniej – mówi Janusz Kowalski, wiceprezes Związku Rzemiosła Polskiego.

Gwałtowne uprzemysłowienie Polski po zakończeniu II wojny światowej wraz z etosem szczególnej roli klasy robotniczej w wykuwaniu nowej socrealistycznej rzeczywistości sprawiły, że szkolnictwo zawodowe było w okresie PRL bardzo ważnym odcinkiem gospodarki narodowej. Uczniowie ze swej strony też dokładali starań, by zdobyć zawód pomni na biedę, przed którą uciekali z przeludnionych wsi. W zdobyciu fachu widzieli szansę na lepsze życie z wygodami w mieście i co ważniejsze – bez widma głodnych dni na przednówku. Warunkiem było zdobycie zawodu, który dawał szanse na pracę w jednej z wielkich budów socjalizmu.

Po upadku PRL i przejściu z masowego zatrudnienia w wielkich zakładach produkcyjnych na usługi i gospodarkę opartą na wiedzy szkolnictwo zawodowe przeszło w Polsce długą epopeję, by znaleźć się dzisiaj w miejscu, które wzbudza niepokój każdego, kto ma choć trochę wyobraźni na temat ważności szkolnictwa zawodowego dla prawidłowego funkcjonowania gospodarki narodowej. W Polsce jest obecnie 1697 branżowych szkół I stopnia. Uczęszcza do nich ponad 212 tysięcy uczniów. Szkół branżowych II stopnia funkcjonuje około 220–520. Znawcy tematu, tzn. nauczyciele, rzemieślnicy i szefowie firm szukający fachowców, mówią wprost: szkolnictwu zawodowemu grozi w najbliższych kilku latach zapaść, jeśli nie dojdzie do głębokich zmian.

> KIEDY W CZASACH PRL POLACY WRACALI Z SAKSÓW W EUROPIE, DZIWILI SIĘ, ŻE NIEMCY CZY FRANCUZI DO MONTAŻU STOJAKA POD CHOINKĘ POTRZEBOWALI INSTRUKCJI OBSŁUGI.

Nie tylko pieniądze

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że problemy leżą głównie w źle zarządzanym systemie oświaty. Spośród wielu przyczyn wieloletnich zaniedbań,

eprasa.pl 477b630995

złej woli, grzechów zaniechania i niezrozumienia, czym jest szkolnictwo zawodowe, można wyróżnić trzy główne trendy obecnego kryzysu. Trzeba od razu zaznaczyć, że opisane zjawiska nie wyczerpują wszystkich słabości ciągnących edukację zawodową w dół.

Pierwsze i najbardziej oczywiste to pieniądze. Szkolnictwo zawodowe generuje o wiele większe koszty niż to ogólne. Klasa ogólna przewidziana nawet na 30 uczniów jest o wiele tańsza od klasy branżowej, w której uczniów może być np. dziesięciu i którym trzeba zapewnić odpowiednie pomoce, wyposażyć ich w nowoczesny sprzęt, zadbać o odpowiednie praktyki w szkole i poza nią i w końcu najpierw znaleźć, a potem opłacić nauczycieli zawodu. Muszą być to przecież ludzie, którzy się do tego naprawdę nadają. To wszystko spada na barki i tak coraz bardziej zadłużonych samorządów.

Kształcenie techniczne staje się coraz większym wyzwaniem w obliczu dokonujących się skokowo zmian technologicznych. Kto da gwarancję absolwentowi technikum samochodowego, że jego umiejętności nadal będą na wysokim poziomie w dobie samochodów elektrycznych i wchodzącej wszędzie sztucznej inteligencji? Przewidywanie potrzeb lokalnego rynku pracy i tworzenie pod niego profilów szkół dobrze wygląda w teorii, w praktyce obarczone jest ryzykiem. Już dzisiaj bardzo wielu młodych ludzi ucieka np. z Bełchatowa i okolic, wiedząc, że Zielony Ład może sprowadzić powszechną biedę poprzez zamykanie przedsiębiorstw energochłonnych. Tworzenie profilów szkół zawodowych pod lokalnego, dużego pracodawcę, mającego w przewadze kapitał zagraniczny, jest ryzykowne, ponieważ z centrali firmy zawsze może przyjść decyzja o znacznej redukcji zatrudnienia. Związkowcy z Solidarności znają takie sytuacje bardzo dobrze.

Takie dylematy kołatają się w głowach samorządowców. Dlatego wiele samorządów po okresie transformacji, gdy wiele przyzakładowych szkół zawodowych zniknęło wraz z zakładem pracy, wolało iść w kierunku szkolnictwa ogólnego. Mniejsze koszty, mniejsze ryzyko oskarżeń o marnotrawstwo środków i nietrafione pomysły z nowymi kierunkami.

Nie mniej ważna kwestia to środki finansowe dla nauczycieli zawodu. Dobry fachowiec, a szkoła tylko takim może powierzyć los swoich uczniów, zarabia na rynku dobre pieniądze, a szkoły nie zawsze są w stanie zrekompensować im czas przeznaczony na pracę z uczniami. Przez lata panował tu nawet pewien absurd skutecznie odganiający mistrzów zawodu od chęci przekazywania swoich umiejętności młodym. – Myśmy dopiero niedawno wywalczyli przepis, w którym nauczyciel zawodu dostanie po trzech latach 10 tys. zł niezależnie od tego, czy uczeń zda egzamin, czy nie. Wcześniej było tak, że gdy po trzech latach uczeń nie zdał egzaminu czeladniczego, to nauczyciel nie dostawał rekompensaty. Żeby było śmieszniej, nauczyciel zawodu nie dostawał pieniędzy, gdy uczniowie zdali bardzo dobrze egzamin zawodowy np. na złotnika lub blacharza samochodowego, a nie zdali np. języka polskiego – tłumaczy Janusz Kowalski. Zdarza się, że przedmiotów zawodowych uczą nauczyciele przedmiotów ogólnych, ponieważ nie ma fachowców chcących pracować w szkole.

Droga przez mękę

Drugi problem ciągnący szkolnictwo zawodowe w dół dotyczy bezpośrednio systemu oświaty i Ministerstwa Edukacji Narodowej. Opinia Krajowego Sekretariatu Nauki i Oświaty NSZZ „Solidarność” w sprawie projektu rozporządzenia ministra edukacji z 30 stycznia 2026 r. zmieniającego rozporządzenie w sprawie ogólnych celów i zadań kształcenia w zawodach szkolnictwa branżowego oraz klasyfikacji zawodów szkolnictwa branżowego jak w pigułce pokazuje, jakie wyzwania wiążą się z edukacją branżową. „Wprowadzenie nowych zawodów, zwłaszcza o profilu wysokotechnologicznym, będzie wiązało się z koniecznością znaczących inwestycji infrastrukturalnych. Modernizacja pracowni, zakup specjalistycznego sprzętu i oprogramowania, dostosowanie zaplecza technicznego do nowych standardów bezpieczeństwa i wymagań programowych generują koszty, które w ocenie KSNiO powinny być rzetelnie oszacowane w oce-

> W CZASIE PRL ISTNIAŁA TAKA INSTYTUCJA JAK „POLSERVICE”, KTÓRA WYSYŁAŁA POLSKICH PRACOWNIKÓW ZA GRANICĘ DO PRACY. WARUNEK BYŁ JEDEN – BRALI TYLKO FACHOWCÓW. I MYŚMY WYSOKIEJ KLASY FACHOWCÓW KSZTAŁCILI.

eprasa.pl 477b630995

nie skutków regulacji. Realny ciężar finansowy reformy zostanie przeniesiony na jednostki samorządu terytorialnego jako organy prowadzące szkoły. W praktyce to samorządy będą zobowiązane do finansowania: modernizacji i doposażenia infrastruktury dydaktycznej, szkoleń i przekwalifikowania nauczycieli, adaptacji programów nauczania, funkcjonowania szkół w okresie przejściowym, ewentualnych kosztów reorganizacji zatrudnienia" – czytamy w opinii.

Kolejne raporty NIK opisujące szkolnictwo zawodowe wskazywały na ten problem. Wielu absolwentów szkół zawodowych miało kłopoty ze znalezieniem pracy z powodu złego sprofilowania nauczania z potrzebami lokalnego rynku pracy.

Kolejno opisano wszystkie wyzwania, przed jakimi stoi zmiana profilów nauczanych zawodów. „W warunkach ograniczonych budżetów JST brak dedykowanych instrumentów wsparcia może prowadzić do nierówności terytorialnych. Jednostki o większym potencjale finansowym będą w stanie szybciej i sprawniej wdrożyć nowe kierunki, podczas gdy mniejsze samorządy napotkają istotne bariery finansowe. Wskutek czego nastąpi zróżnicowanie jakości i dostępności nowoczesnego kształcenia zawodowego w skali całego kraju. Ze względu na kilkuletni okres równoległego funkcjonowania kształcenia w zawodach wygaszanych i nowo wprowadzonych istnieje realne zagrożenie: mniej efektywnego wykorzystania bazy dydaktycznej, wzrostu kosztów stałych, zwiększonego kosztu jednostkowego kształcenia ucznia w przypadku spadku naboru, konieczności utrzymywania specjalistycznych pracowni dla malejącej liczby uczniów".

Takich opinii oświatowa Solidarność wystawiła mnóstwo. Wprowadzenie nowego przedmiotu to długotrwała operacja z konsultacjami, ekspertyzami, opiniami, wdrożeniami itp. Sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej, gdy chodzi o przedmioty zawodowe.

Trzeci trend powodujący, że szkolnictwo zawodowe woła o ratunek, to dokonująca się rewolucja kulturowa, która nie omija polskiej młodzieży. – Nawet gdybyśmy cofnęli reformę Jarosława Gowina, znaleźli nagle dużo środków finansowych dla nauczycieli zawodowych i przeprowadzili reformę systemu edukacji zawodowej we współpracy z szeroko rozumianym biznesem, to na końcu i tak zostają zagubione dzieci z pokolenia „płatków śniegu", wrażliwe, często nie mające celu. Dzisiaj poziom absolwentów szkół zawodowych pierwszego stopnia jest dużo słabszy niż kilkanaście lat temu. Wiedza techniczna jest bardzo słaba. Poziom nauczania jest coraz niższy, a egzaminy są coraz prostsze. Właściwie robi się wszystko, by ci uczniowie egzamin zdali. Wiedzą już miesiąc wcześniej, jak będzie wyglądał egzamin, a i tak się zdarza, że po prostu do niego nie przystępują lub go nie zdają, bo nie chcieli się nauczyć. Dzisiaj sporej grupie z tych uczniów nie zależy w ogóle na zdobyciu uprawnień zawodowych – mówi wieloletni nauczyciel i egzaminator zawodowy oraz członek oświatowej Solidarności Artur Tomala.

Dodaje, że coraz częściej spotyka się z sytuacją, gdy to przedsiębiorcy nie chcą brać do siebie uczniów na praktyki, ponieważ ci albo nie przychodzą i przynoszą zwolnienia lekarskie, albo nie chcą się uczyć. – Oczywiście zdarzają się wyjątki uczniów pasjonujących się zawodem, ale takich nie jest za dużo. Tymczasem rozmawiałem kiedyś ze znajomą z Hiszpanii, której syn dostał się do liceum. Na moje stwierdzenie, że chyba się cieszy, odpowiedziała, że nie, bo nie dostał się do zawodówki – dodaje.

Kiedy w czasach PRL Polacy wracali z saksów w Europie, dziwili się, że tam się tak dobrze żyje, a oni nic nie potrafią sami zrobić. Śmiali się, że Niemcy czy Francuzi do montażu stojaka pod choinkę potrzebowali instrukcji obsługi. Dotarło to niestety do Polski. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że owa anegdotyczna instrukcja mogłaby być niezrozumiana przez wielu młodych ludzi w Polsce.

Mimo ogromnego zapotrzebowania na fachowców i czekających na nich dobrych zarobków jest problem z kształceniem. Kolejne rządy traktują ten problem trochę jak gorący kartofel, licząc, że za ich kadencji nie dojdzie jeszcze do zupełnej klapy. Czas działa jednak na niekorzyść polskiej gospodarki.

DOBRY FACHOWIEC, A SZKOŁA TYLKO TAKIM MOŻE POWIERZYĆ LOS SWOICH UCZNIÓW, ZARABIA NA RYNKU DOBRE PIENIĄDZE, A SZKOŁY NIE ZAWSZE SĄ W STANIE ZREKOMPENSOWAĆ IM CZAS PRZEZNACZONY NA PRACĘ Z UCZNIAMI.

eprasa.pl 477b630995

Szkolnictwo zawodowe musi nadążać za rzeczywistością

– Aby przyciągnąć młodych ludzi, edukacja musi dawać absolwentom realne perspektywy zawodowe – przygotowywać ich do pracy w dynamicznie zmieniającym się świecie, w którym robotyka i nowe technologie rozwijają się bardzo szybko – mówi **Piotr Olbryś**, przewodniczący Międzyzakładowej Organizacji NSZZ „Solidarność” w Volkswagen Poznań, w rozmowie z **Markiem Nowakiem**.



Fot. M. Żegliński

eprasa.pl 477b630995

– Panie Przewodniczący, od wielu lat jest Pan liderem jednej z największych organizacji związkowych w polskim przemyśle Volkswagen Poznań, który aktywnie współpracuje ze szkołami branżowymi i technicznymi w ramach kształcenia dualnego. Jak to doświadczenie wpływa na Pana spojrzenie na szkolnictwo zawodowe i kształcenie dualne?

– Tak, rzeczywiście Volkswagen Poznań to największa organizacja związkowa w przemyśle licząca w tej chwili prawie 6 tysięcy członków w czterech zakładach produkcyjnych. Jesteśmy dumni z tego, że od wielu lat kształcimy młodzież w patronackich szkołach zawodowych. Kształcenie zawodowe, mówiąc eufemistycznie, w latach 90. XX wieku przestawało pełnić istotną funkcję w systemie edukacyjnym, stając się coraz bardziej zaniedbane i zapomniane. Myślę, że to był wielki błąd tamtych czasów. Volkswagen Poznań wrócił do – również niestety nieco zapomnianej we współczesnym przemyśle – idei kształcenia własnych pracowników, własnych uczniów. Poza szkołami branżowymi prowadzone jest również kształcenie dualne w ramach szkolnictwa wyższego. Volkswagen Poznań współpracuje właściwie ze wszystkimi państwowymi uczelniami wyższymi zarówno w Poznaniu, jak i w całym regionie Wielkopolski. Prowadzone są nawet programy dla doktorantów. Natomiast z perspektywy związkowej muszę powiedzieć, że jesteśmy dumni i szczęśliwi, że uczniowie, którzy się tutaj kształcą, zdają egzaminy w ramach szkolnictwa zawodowego i technicznego, a później znajdują zatrudnienie w Volkswagen Poznań. Co warto podkreślić, wszyscy, którzy zdają wymagane egzaminy, otrzymują umowę o pracę oraz możliwość przystąpienia do NSZZ „Solidarność", a duża część, w zasadzie prawie wszyscy, chętnie zapisują się do naszego związku zawodowego.

– Jak Pan ocenia obecny wizerunek szkolnictwa zawodowego w Polsce w oczach młodych ludzi? Czy nadal jest to „gorsza" ścieżka edukacyjna, czy ten stereotyp powoli odchodzi do przeszłości?

– Ten wizerunek na szczęście bardzo się zmienia. W dużej mierze wymuszają to nowe czasy, w których potrzeba coraz więcej wykwalifikowanych pracowników. To już nie jest praca tylko z pilnikiem i młotkiem, jak było kiedyś, ale przede wszystkim mamy swoje centra kompetencji w ramach firmy, w których uczniowie kształcą się w nowych zawodach. Technologia wymaga specjalizacji. Dzisiaj potrzeba przede wszystkim mechatroników, tych, którzy obsługują roboty. Wchodzimy w erę automatyzacji. Myślę, że warto też nadmienić, że dla wielu pracowników, którzy ukończyli szkołę zawodową w ramach Volkswagena, był to jedynie pierwszy krok do dalszego rozwoju. Mamy liczne przypadki pracowników, którzy skończyli szkołę zawodową, później, już pracując, szkoły średnie, a następnie szkoły wyższe i dzisiaj mają świetną karierę w ramach Volkswagena Poznań.

– Ma Pan kontakt z setkami absolwentów programu. Co najbardziej motywuje młodych ludzi do wyboru drogi zawodowej w przemyśle, a co ich zniechęca?

– Myślę, że to, co mogło ich zniechęcać, czyli pewien negatywny wizerunek z lat 90., o którym już wspomnieliśmy, przechodzi już do historii. Najbardziej zachęcają atrakcyjne miejsca i warunki pracy oraz realna możliwość rozwoju. A także to, że wielu, naprawdę wielu uczniów i później pracowników to już dzieci naszych pracowników. Firma staje się wielopokoleniowa.

– Jakie Pan zauważył największe zmiany w szkolnictwie zawodowym na przestrzeni ostatnich 20 lat?

– Najbardziej widać ciągłe dostosowywanie własnej oferty edukacyjnej do potrzeb pracodawcy oraz do tego, jakie zawody będą istniały w przyszłości. Myślę, że to jedyny możliwy kierunek. Czasy, w których mieliśmy klasy kształcące od wieków np. ślusarzy i tak dalej, to już elementy świata przeszłości. Dziś potrzeba ciągłych zmian, reagowania na bieżąco i nieustannego dostosowywania się do zmieniającej się rzeczywistości. Można więc powiedzieć, że potrzeba zmian to jest właśnie ta najważniejsza zmiana, która dzisiaj zachodzi. Szkoły, które tego ducha nowych czasów nie rozpoznają i będą stać w miejscu, mogą mieć poważne problemy z przetrwaniem.

> DZISIAJ POTRZEBA PRZEDE WSZYSTKIM MECHATRONIKÓW, TYCH, KTÓRZY OBSŁUGUJĄ ROBOTY. WCHODZIMY W ERĘ AUTOMATYZACJI.

– Najwyższa Izba Kontroli w 2024 roku wykazała, że aż około 30% absolwentów szkół branżowych pierwszego stopnia ani

eprasa.pl 477b630995

nie pracuje, ani nie kontynuuje nauki. Jak Pan myśli, skąd się bierze ten problem i co można z nim zrobić?

– Wydaje mi się, że problem leży w dużej mierze w złym wyborze szkoły. Jeżeli ktoś w ramach jakiejś szkoły kończy swoje kształcenie zawodowe, czy nawet średnie, w jakimś konkretnym zawodzie, a później nie znajduje pracy, to musi się dostosować i przebranżowić.

– Czym zasadniczo różni się Wasz model dualny od typowej branżowej szkoły I stopnia w Polsce? Wielu pracodawców narzeka na niski poziom przygotowania absolwentów szkół branżowych. Co VW robi lepiej niż przeciętna szkoła?

– Sądzę, że kluczem jest tu przede wszystkim dawanie realnej możliwość praktycznego poznania nowych technologii. Uczniowie od pierwszego roku nauki mają świetnie wyposażone klasy. Volkswagen daje dostęp do wiedzy i do praktycznej nauki. Podczas niej są dostępne różne modele, a praktyki odbywają się już w firmie. Co warto podkreślić, przedsiębiorstwo dynamicznie się zmienia i automatyzuje. Dostęp do nowych technologii mają również uczniowie, co w mojej ocenie jest niezwykle istotne. Myślę, że to wyróżnia Volkswagena. Chodzi też o sam profil produkcji, ponieważ samochody to jest coś, co interesuje młodych ludzi. Nie mówię tylko o młodych mężczyznach, bo mamy też dziewczyny, które kształcą się w zawodach technicznych.

– To w pewnym sensie odkłamuje dość powszechny stereotyp.

MAMY LICZNE PRZYPADKI PRACOWNIKÓW, KTÓRZY SKOŃCZYLI SZKOŁĘ ZAWODOWĄ, PÓŹNIEJ, JUŻ PRACUJĄC, SZKOŁY ŚREDNIE, A NASTĘPNIE SZKOŁY WYŻSZE.

– Raz w roku na posiedzeniu Światowej i Europejskiej Rady Zakładowej Volkswagena jest przyznawana prestiżowa nagroda, tak zwany Best Practice Award, dla najlepszych uczniów ze wszystkich lokalizacji, w których prowadzone jest szkolenie zawodowe. Kilka lat temu taką nagrodę otrzymała uczennica. Dziewczyn kształcących się w zawodach technicznych jest wprawdzie mniej, ale swoją ciężką pracą i zaangażowaniem w niczym nie ustępują chłopakom.

– Spróbujmy teraz spojrzeć nieco szerzej. Co należałoby zmienić w polskim systemie szkolnictwa branżowego, aby więcej firm mogło wdrażać skuteczne programy dualne na wzór Volkswagena?

– Na pewno potrzebna jest współpraca z samorządem, z rządem, ewentualna pomoc w budowaniu takich klas, ponieważ to musi opłacać się danej firmie. Po pierwsze należy stworzyć dogodne warunki ku temu, żeby takie klasy powstawały. Takie warunki są zapewnione w ramach współpracy firmy z samorządami, czyli z powiatem poznańskim i z powiatem wrzesińskim. Ważna jest też później możliwość zatrudnienia tych uczniów, czyli kwestia rozwoju firm. Jeżeli firma nie planuje przyjmować nowych pracowników, a teraz często przeprowadzane są redukcje zatrudnienia, to nie będzie atrakcyjna. Nie będzie też podstawy do tworzenia takich klas.

– Jak ocenia Pan współpracę z partnerami edukacyjnymi?

– Myślę, że to bardzo dobra współpraca. Jako związek zawodowy aktywnie współpracujemy ze szkołami, co pozwala nam na bezpośrednie spotkania i rozmowy z uczniami. Podczas nich wyjaśniamy, jak istotna dla pracowników firmy Volkswagen jest ich oficjalna związkowa reprezentacja oraz dlaczego warto wstąpić w szeregi Solidarności. Nasze inicjatywy zawsze spotykają się z dużą przychylnością. Angażujemy się również w działania o charakte-

WIELU, NAPRAWDĘ WIELU UCZNIÓW I PÓŹNIEJ PRACOWNIKÓW TO JUŻ DZIECI NASZYCH PRACOWNIKÓW. FIRMA STAJE SIĘ WIELOPOKOLENIOWA.

eprasa.pl 477b630995

rze reprezentacyjnym i oficjalnym. Regularnie otrzymujemy zaproszenia na inaugurację roku szkolnego w naszej firmie, gdzie mamy przestrzeń na powitanie nowych uczniów, a także na pożegnanie absolwentów i złożenie im gratulacji podczas uroczystych gal. Doskonałym tego przykładem była ubiegłoroczna, jubileuszowa gala będąca zwieńczeniem 20-lecia naszego programu kształcenia dualnego. Jako związek zawodowy mieliśmy tam swoje stałe miejsce, a ja miałem też zaszczyt wygłosić tam przemówienie. Podsumowując współpracę ze szkołami oraz z firmą w zakresie kształcenia zawodowego, muszę podkreślić, że NSZZ „Solidarność" cieszy się pełnym podmiotowym traktowaniem. Wynika to zarówno z wypracowanej przez lata silnej pozycji, jak i z wewnętrznych regulacji koncernowych. Kluczowym dokumentem jest tutaj Karta Stosunków Pracy, która w module poświęconym edukacji gwarantuje nam realne prawo do współdecydowania w tych procesach.

– Dlaczego warto należeć do NSZZ „Solidarność"?

– Przede wszystkim dlatego, że tworzymy silną i solidarną reprezentację pracowników. Im jest nas więcej, tym mamy większe możliwości negocjacji, a nasz głos jest silniejszy i lepiej słyszalny. Jednak korzyści z przynależności związkowej jest znacznie więcej. Dla młodych ludzi, urodzonych już w XXI wieku, pojęcie związku zawodowego oraz historia i rola Solidarności bywają na początku abstrakcją. Trafiając do tak dużego zakładu pracy, w którym działa silna i prężna organizacja związkowa, dopiero poznają te mechanizmy od podstaw. Myślę, że to, iż od samego początku swojej zawodowej drogi mogą również rozpocząć swoją przynależność związkową, jest bardzo ważne. Doskonałym dowodem na to, jak wielkie perspektywy otwiera ta działalność, jest historia jednego z naszych absolwentów. Kilkanaście lat temu ukończył on szkołę zawodową w ramach struktur Volkswagena. Następnie kontynuował edukację w szkole średniej i na studiach wyższych. W trakcie swojej drogi zawodowej został oddelegowany do pracy w biurze Związku jako mój asystent. Później awansował na specjalistę, a dziś zajmuje stanowisko w strukturach działu personalnego, w którym są świadczone usługi także dla centrali koncernu VW w Wolfsburgu. To piękny przykład rozwoju kariery, w którą od samego początku naturalnie wpisana była działalność związkowa.

> SZKOŁY, KTÓRE NIE ROZPOZNAJĄ DUCHA NOWYCH CZASÓW I BĘDĄ STAĆ W MIEJSCU, MOGĄ MIEĆ POWAŻNE PROBLEMY Z PRZETRWANIEM.

– Jakie są największe wyzwania na najbliższe 5–10 lat dla kształcenia zawodowego w kontekście zmian technologicznych, AI, automatyzacji i demografii?

– Myślę, że przede wszystkim oferta kształcenia zawodowego musi być atrakcyjna i odpowiadać na rzeczywiste wyzwania przyszłości. Powinna więc obejmować takie obszary jak sztuczna inteligencja, automatyzacja i robotyzacja, które będą odgrywać kluczową rolę w nadchodzących latach. Aby przyciągnąć młodych ludzi, edukacja musi dawać absolwentom realne perspektywy zawodowe – przygotowywać ich do pracy w dynamicznie zmieniającym się świecie, w którym robotyka i nowe technologie rozwijają się bardzo szybko. Największym wyzwaniem jest jednak konkurencyjność, przede wszystkim z Chinami. Mówię tu szczególnie o branży motoryzacyjnej, ale dotyczy to całego przemysłu. Żeby sprostać tej konkurencji, potrzebujemy wyjątkowo dobrze wykształconych pracowników – posiadających zarówno solidną wiedzę techniczną, jak i umiejętność pracy z nowoczesnymi technologiami. To właśnie taka wiedza będzie w najbliższych latach najbardziej poszukiwana i ceniona przez pracodawców.

> DLA MŁODYCH LUDZI, URODZONYCH JUŻ W XXI WIEKU, POJĘCIE ZWIĄZKU ZAWODOWEGO ORAZ HISTORIA I ROLA SOLIDARNOŚCI BYWAJĄ NA POCZĄTKU ABSTRAKCJĄ.

eprasa.pl 477b630995



Epoka użyteczności

Fot. Adobe Stock

O wyborze drogi kształcenia decydują nie tylko perspektywy finansowe i potrzeby rynku pracy, lecz także coś **trudniejszego** do uchwycenia: prestiż oraz społeczne poważanie związane z danym zawodem. Pod tym względem ostatnie 35 lat w Polsce można opisać jako drogę „tam i z powrotem".

Ludwik Pęzioł

Badania prestiżu zawodów prowadzone są w Polsce od kilkudziesięciu lat. Czołówkę rankingów niemal niezmiennie zajmują profesje związane z ratowaniem życia i bezpieczeństwem, jak: ratownik medyczny, strażak, lekarz czy pielęgniarka. W przypadku większości pozostałych zawodów (zarówno tych kojarzonych ze szkolnictwem zawodowym, jak i uniwersyteckim) dochodziło jednak do wyraźnych przetasowań. Ich główną cezurą okazało się umasowienie szkolnictwa wyższego po 1989 roku.

Przetasowania

Przez pierwsze dwie dekady po transformacji ustrojowej branże „po zawodówce" przeżywały w Polsce wyraźny kryzys prestiżu. Istniały oczywiście wyjątki, jak górnik, którego pozycja społeczna długo pozostawała relatywnie wysoka, jednak generalny trend był jednoznaczny. W badaniach CBOS z początku lat 90. rolnik zajmował jeszcze dość wysokie miejsce, jednak już stoczniowiec, będący symbolem klasy robotniczej, znajdował się niemal na samym dole zestawienia. Dwa lata później robotnik wykwalifikowany plasował się już w ogonie tabeli, a prestiż rolnika wyraźnie spadł. Na przełomie tysiącleci zarówno robotnicy, jak i rolnicy nadal pozostawali poniżej społecznej średniej i nie byli postrzegani jako zawody szczególnie godne uznania.

Nie było to zresztą przypadkowe. Polska lat 90. i początku XXI wieku żyła przekonaniem, że awans społeczny dokonuje się przede wszystkim poprzez studia wyższe. Dyplom uczelni miał być przepustką do „lepszego świata". Szkoły zawodowe zaczęto traktować jako wybór

eprasa.pl 477b630995

dla tych, którzy „sobie nie poradzili", mniej zdolnych lub pochodzących z nizin społecznych. W efekcie przez lata wmawiano młodym ludziom, że sukces oznacza odejście od pracy fizycznej – nawet wtedy, gdy rynek coraz bardziej potrzebował fachowców.

Pierwsze symptomy odwrócenia tego trendu pojawiły się około 2008 roku, a prawdziwy przełom nastąpił po roku 2013. Wtedy robotnik wykwalifikowany niespodziewanie awansował na podium rankingów prestiżu społecznego. Później proces ten tylko przyspieszył. Do łask zaczęły wracać profesje takie jak rolnik, tokarz, szewc, listonosz, kierowca komunikacji miejskiej czy pracownik sprzątający. Co znamienne, wiele z nich zaczęło wyprzedzać zawody utożsamiane z prestiżem symbolicznym związanym np. z mediami, show-biznesem, administracją czy nawet duchowieństwem.

Inflacja magistrów

Zmiana ta nie wynika wyłącznie z sentymentu do „starych zawodów". To raczej efekt głębszego przesunięcia w społecznym rozeznaniu rzeczywistości. Umasowienie studiów doprowadziło bowiem do spadku realnej wartości dyplomów. Tytuł magistra przestał być dobrem elitarnym, a wiele zawodów wymagających wyższego wykształcenia utraciło nimb wyjątkowości. Jednocześnie coraz bardziej widoczny stał się deficyt fachowców: hydraulików, elektryków, operatorów maszyn, kierowców, mechaników etc. Rynek pracy brutalnie zweryfikował przekonanie, że gospodarka może opierać się wyłącznie na pracy „kreatywnej" i usługowej.

W najnowszych rankingach prestiżu widać wyraźnie, że zawody związane z praktyczną użytecznością społecznie się obroniły. Nawet jeśli ich pozycja bywa zróżnicowana, właściwie nigdy nie spotykają się z pogardą. Najniższe noty otrzymują raczej profesje postrzegane jako mało konkretne, pasożytujące na emocjach, politycznie uwikłane albo produkujące dobra trudne do uchwycenia. Influencer, youtuber, coach biznesowy czy celebryta mogą budzić zazdrość ze względu na pieniądze i rozpoznawalność, ale niekoniecznie przekłada się to na autentyczny szacunek społeczny.

Społeczeństwo być może po latach fascynacji „nowoczesnością" ponownie zaczęło bardziej cenić zawody, których wyjaśnienie sensu nie wymaga tłumu „apologetów", bo jest on zrozumiały sam przez się. Praca hydraulika, pielęgniarki, kierowcy autobusu czy elektryka daje namacalny efekt i zaspokaja podstawowe potrzeby wspólnoty. Tego rodzaju profesje są też mniej ideologiczne i mniej polaryzujące. Co ciekawe, wbrew dawnym stereotypom nie kojarzą się one już z „klasą niższą" i coraz częściej można spotkać osoby dobrowolnie porzucające na ich rzecz zawody czysto umysłowe, w kierunku których kształcili się na drodze uniwersyteckiej.

PRZEZ PIERWSZE DWIE DEKADY PO TRANSFORMACJI BRANŻE „PO ZAWODÓWCE" PRZEŻYWAŁY W POLSCE KRYZYS PRESTIŻU.

Wielkie rozczarowanie

Rosnąca dostępność szkolnictwa wyższego (gwałtowny rozwój uczelni prywatnych, studiów zaocznych i wieczorowych) zbiegła się w Polsce z ogromną presją społeczną. W latach 90. i na początku XXI wieku młodym ludziom nieustannie powtarzano, że „bez dyplomu jesteś nikim". Studia miały być nie tylko sposobem na zdobycie zawodu, ale wręcz warunkiem godnego życia i społecznego awansu. W efekcie tysiące osób, które mogły zdobyć stabilny fach i dobrze odnaleźć się w pracy praktycznej, trafiały na uczelnie, po których spotkało je bolesne rozczarowanie. Był to rezultat zarówno ofensywy marketingowej części szkół wyższych, jak i aspiracyjnego charakteru polskiego społeczeństwa po transformacji. Polska chciała być „nowoczesna", a nowoczesność utożsamiono z masowym wykształceniem wyższym i odejściem od pracy fizycznej. Problem polegał na tym, że za ekspansją uczelni nie nadążał rynek pracy.

Jednym z pierwszych sygnałów kryzysu był spadek statusu samego studenta. Jeszcze w latach 90. studiowanie kojarzyło się z elitą i przepustką do lepszego życia. Kilkanaście lat później coraz częściej stawało się obiektem kpin. Popularność zdobyły żarty o „produkowanych magistrach", przekonanie, że studia są jedynie przedłużeniem młodości, a absolwent po obronie pracy magisterskiej będzie szukał pracy u dawnego kolegi, który wybrał technikum albo zawodówkę.

Rzeczywistość często potwierdzała te obawy. Wielu absolwentów nigdy nie znalazło zatrudnienia w zawodzie, do którego formalnie się przygotowywało. Zamiast obiecywanej kariery czekała ich praca biurowa o niewielkiej stabilności albo (w najlepszym razie) korporacyjna ›

eprasa.pl 477b630995

rutyna. Do języka weszły ironiczne określenia związane z „klepaniem Excela", a praca biurowa zaczęła być przedstawiana jako coś odtwórczego, pozbawionego sensu, łatwo zastępowalnego i niedającego poczucia satysfakcji.

W tym samym czasie coraz częściej zaczęto mówić o prekaryzacji. Umowy śmieciowe, ciągłe poczucie tymczasowości, konieczność przebranżawiania się i brak stabilizacji stały się doświadczeniem dużej części młodej klasy średniej. Paradoksalnie problemy te często rzadziej dotykały osoby po szkołach zawodowych niż magistrów, którym wcześniej wmówiono, że jedynie studia wyższe gwarantują bezpieczną przyszłość. W pewnym momencie doszło więc do symbolicznego odwrócenia ról. To nie hydraulik czy elektryk zaczął być przedstawiany jako życiowy „przegryw", lecz sfrustrowany absolwent czy „freelancer" pracujący poniżej kwalifikacji.

> W LATACH 90. I NA POCZĄTKU XXI WIEKU MŁODYM LUDZIOM POWTARZANO, ŻE „BEZ DYPLOMU JESTEŚ NIKIM".

Powrót zawodówek

Zmiany w postrzeganym prestiżu zawodów antycypowały zmiany na rynku pracy. W czasach PRL szkolnictwo zawodowe stanowiło fundament systemu oświaty. Jeszcze na początku lat 90. większość młodych ludzi wybierała technika lub zawodówki. Między 1990 a 2004 rokiem nastąpiło jednak gwałtowne tąpnięcie: odsetek uczniów wybierających tę ścieżkę spadł niemal dwukrotnie – z około 70 do 40 procent. Był to efekt nie tylko zmian gospodarczych, ale także ogromnej degradacji symbolicznej pracy fizycznej. „Robol" stał się figurą człowieka przegranego w nowym kapitalizmie. To pokazuje, jak silnie prestiż zawodów wpływa nie tylko na indywidualne wybory młodych ludzi, ale również na politykę edukacyjną państwa. Szkoły zawodowe zaczęto masowo wygaszać właśnie wtedy, gdy społeczne aspiracje przesunęły się w stronę uniwersytetów. Problem polegał na tym, że gospodarka nie była w stanie wchłonąć takiej liczby absolwentów studiów wyższych, a wiele „nowych zawodów" nie zdobyło zaufania ludzi.

Pierwsze oznaki zmiany pojawiły się około 2010 roku, a kilka lat później trend stał się już wyraźny. W 2015 roku niemal połowa absolwentów gimnazjów wybrała technikum lub zasadniczą szkołę zawodową. Był to znaczący wzrost w porównaniu z początkiem wieku i sygnał, że społeczne postrzeganie tych szkół zaczyna się odbudowywać. Warto zauważyć, że ten zwrot rozpoczął się jeszcze przed dużą reformą szkolnictwa zawodowego z 2016 roku. Reforma oczywiście odegrała istotną rolę: zwiększono subwencje, rozbudowano system praktyk i staży u pracodawców, umożliwiono zdobycie dyplomu zawodowego już po branżowej szkole I stopnia, a przedsiębiorcy uzyskali większy wpływ na programy nauczania. Państwo zaczęło dostrzegać, że przez lata zaniedbywano segment edukacji kluczowy dla realnej gospodarki.

Jak jednak pokazały przywołane wcześniej dane z rankingów prestiżu zawodowego, społeczna zmiana mentalna wyprzedziła działania instytucjonalne. Ludzie szybciej niż państwo zauważyli, że fachowiec może dziś zarabiać więcej niż wielu absolwentów uczelni wyższych. Wzrost prestiżu zawodów technicznych i branżowych był więc najpierw reakcją organiczną, a dopiero później został wzmocniony przez reformy.

Kulminację tego procesu widać w najnowszych danych. W 2024 roku aż 59 procent absolwentów szkół podstawowych wybrało szkoły branżowe lub techniczne. Jeszcze kilkanaście lat wcześniej taki wynik wydawałby się nie do pomyślenia.

> ELEKTRYK, HYDRAULIK CZY MECHANIK STAJĄ SIĘ DZIŚ NIE SYMBOLEM „GORSZEGO WYBORU", LECZ ZAWODAMI PRZYSZŁOŚCI.

Trudno nie dostrzec, że tę zmianę może dodatkowo pogłębić rozwój sztucznej inteligencji i automatyzacji. Wiele zawodów biurowych, administracyjnych czy „kreatywnych" okazuje się podatnych na zastąpienie przez algorytmy. Tymczasem fachy wymagające fizycznej obecności, manualnych kompetencji i praktycznego doświadczenia pozostają znacznie trudniejsze do automatyzacji. Elektryk, hydraulik czy mechanik stają się dziś nie symbolem „gorszego wyboru", lecz zawodami przyszłości.

eprasa.pl 477b630995

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Strzyżenie Polaków

Krajowy Rejestr Oznakowanych Psów i Kotów (KROPiK), opłata reprograficzna, podwyżka akcyzy – to tylko kilka ostatnich przykładów wyciągania pieniędzy od Polaków. Zwłaszcza gdy nie mówimy o zwykłej podwyżce podatków, ale o kolejnych regulacjach, które łączą się z obowiązkowymi opłatami, a za ich złamanie grożą kary. Witamy w Polsce Donalda Tuska i Andrzeja Domańskiego!

O tym, w jak katastrofalnym stanie są finanse publiczne, praktycznie się nie mówi. Owszem, co jakiś czas można przeczytać teksty o kolejnych zwolnieniach czy zwalniającej gospodarce, ale warto mieć świadomość, że osiągnęliśmy już prawie konstytucyjny próg zadłużenia 60 proc. do PKB (według metodologii unijnej), a tylko w tym roku deficyt budżetowy ma wynieść 270 miliardów, o ile nie więcej. Nic dziwnego, że rząd sięga coraz odważniej i jednocześnie bezczelniej do naszych kieszeni. Nie mówiąc już o wpływie lobbystów, którzy walczą o korzystne dla ich klientów prawo.

Tuż przed majówką minister kultury Marta Cienkowska z dumą poinformowała o podpisaniu rozporządzenia dotyczącego opłaty reprograficznej, zwanej też „opłatą od smartfonów". Oznacza to, że na niemal wszystkie urządzenia zostanie nałożona opłata w wysokości od 1 do 3 proc. wartości. Co najbardziej bezczelne, Cienkowska przekonuje, że nie jest to żaden nowy podatek. Nic dziwnego, ten musiałby zostać wprowadzony ustawą, a tak nie trzeba pytać o zdanie ani koalicjantów, ani prezydenta. Ministerstwo przekonuje również, że opłatą zostaną obarczeni giganci technologiczni, a nie konsumenci. Nie wierzą Państwo? I słusznie.

Kolejnym przykładem skoku na nasze pieniądze jest Krajowy Rejestr Oznakowanych Psów i Kotów, który przyjął parlament. Projekt, choć od początku fatalny, został jeszcze pogorszony podczas prac sejmowych. W efekcie prawie wszyscy właściciele psów i kotów będą musieli oznaczyć zwierzę w państwowej bazie, co będzie kosztować minimum 100 złotych. Psów i kotów podlegających oznakowaniu mamy w sumie ok. 15 mln, co daje łącznie 1,5 mld zł. Te pieniądze trafią do weterynarzy czy producentów czipów. Jeśli zaś właściciel nie oznaczy zwierzęcia, to może otrzymać grzywnę (do 5 tys. zł). Wątpliwości ws. KROPiK-u jest zresztą o wiele więcej – od konstytucyjnych, przez ideowe, aż po polityczne i korupcjogenne. Pytanie, czy prezydent Karol Nawrocki taką ustawę podpisze, czy też nie.

W kolejce czekają również podwyżki akcyzy, co będzie kolejnym uderzeniem po kieszeni. Nie wspominając już o fatalnym systemie kaucyjnym, który z jednej strony uczynił z Polaków śmieciarzy, a z drugiej i tak wyciąga od nich pieniądze (bezpośrednio lub pośrednio).

Stara prawda mówi o tym, że jeśli w polityce następuje jakieś wzmożenie i jakiś temat jest szczególnie eksploatowany, to warto uważnie obserwować, co równolegle jest przepychane przez parlament. I o tym warto pamiętać.

eprasa.pl 477b630995

Rewanż robotniczego blokowiska

„W miarę postępów w budowie socjalizmu walka klasowa zaostrza się” – napisał Józef Stalin już niemal 90 lat temu. We współczesnej Polsce przekonujemy się, że do liberalnej demokracji pasuje bardzo podobne prawidło. **Walka klasowa** zaostrza się zarówno wtedy, gdy model ten triumfuje, jak i gdy napotyka przeszkody.

Krzysztof Karnkowski

W wielkim, ale oddającym brutalnie naturę rzeczy skrócie uznać można, że III RP była w pewnym sensie owocem zdrady, której wobec ludu dopuściły się elity. Oba te pojęcia należałoby ująć w cudzysłów, elitom brak było już dawnego przeświadczenia o jakichkolwiek



Fot. Daniel Frymark / Forum

eprasa.pl 477b630995

powinnościach wobec tych, którzy w kolejnych społecznych hierarchiach znaleźli się niżej. Zresztą nie idealizujmy przeszłości, wcześniej też przecież spotykaliśmy się z całą gamą postaw: od empatii czy poczucia obowiązku, przez obojętność, do pogardy i cynicznego wykorzystywania ekonomicznych czy kulturowych przewag.

Dziedzictwo komuny

PRL przed 1980 rokiem pogłębiał nieufność i uprzedzenia, udawało się wówczas dzielić i rządzić. Dobrym tego przykładem jest chętnie przypominana przez niechętnych artyście piosenka Jana Pietrzaka z końca lat 60. Pietrzak wyśmiewał się tam z inteligentów toczących w Polsce artystyczne dyskusje i pracujących fizycznie za granicą. Satyryk, wówczas jeszcze widzący w PZPR przedstawiciela klasy robotniczej, z której się wywodził, lekarstwa na pięknoduchostwo upatrywał w wysłaniu inteligencji do pracy fizycznej, tyle że już na polską prowincję. Jak działało to w drugą stronę? W 1980 roku przedstawiciele inteligencji ze zdziwieniem odkrywali nieraz, że robotnicy, z którymi wspólnie stoją ramię w ramię przeciw komunie, nie są wcale ciemną masą, a ludźmi, którzy sporo czytają i sporo wiedzą. Niektórzy jednak bardzo szybko o tym doświadczeniu zapomnieli. „Hej robole i fizole/ Proletariat ludzie pracy/ Marks i Lenin stworzyli wam komunę/ Macie teraz władzę, macie swoją dumę/ Cały dzień w fabrykach siedzą/ Gówno robią, gówno wiedzą/ Gówno zjedzą, gorzały wypiją/ I mówią, że żyją, i mówią, że żyją” – śpiewała na przełomie systemów Pabieda z Malborka, nie mając o ludziach pracy zbyt dobrej opinii. Tekst niby z punkowego podziemia, a jednak oddający nastroje sporej części inteligencji, która właśnie podzieliła się na małą grupę realnych beneficjentów zmiany i resztę, której trzeba było jakoś wynagrodzić faktyczną pauperyzację. I wynagrodzono – opartym na wyniesionych z PRL stereotypach i resentymentach poczuciem wyższości. Wobec kogo? Wobec tych, których los wcale nie musiał być gorszy od ich losu, jeśli mieli fach w ręku i siłę, by szukać pracy w nowych miejscach, gdy stare możliwości kończyły się wraz z ginącymi zakładami pracy. W „nowej Polsce”, niezależnie od stanu faktycznego, ludzie ci dostali od razu łatkę nierobów. Bumelantów z PRL-owskiego plakatu. „Ludzie udają, że pracują, a państwo udaje, że płaci” – określał odchodzący system Leszek Balcerowicz. Przestano więc zatrudniać, a więc i płacić, a bezrobotnych, by nikt im zbytnio nie współczuł, przedstawiano jako cwaniaków, leni i kombinatorów.

> W 1980 ROKU PRZEDSTAWICIELE INTELIGENCJI NIERAZ ZE ZDZIWIENIEM ODKRYWALI, ŻE ROBOTNICY NIE SĄ WCALE CIEMNĄ MASĄ, A LUDŹMI, KTÓRZY SPORO CZYTAJĄ I SPORO WIEDZĄ.

Koniec solidarności

To zjawisko przełożyło się na pierwsze linie podziałów politycznych. Nagle zniknął etos Solidarności jako wspólnoty grup społecznych. Gdy warszawski inteligent wziął na siebie ciężar przeprowadzenia reform, robotnik, pracownik PGR czy pracownik małomiasteczkowego ośrodka kultury (a nawet nauczyciel – „Gdyby teraz zwolnić tych nauczycieli, którzy nie pracują, to pozostali zarabialiby świetnie, a może i dzieci przestałyby się męczyć” – mówił w 1993 roku Jacek Kuroń, komentując strajk tej grupy zawodowej) wziąć mieli na siebie ich społeczny koszt. A gdy pojawiły się głosy, że nie jest to wcale sprawiedliwy podział ról, solidarność, przynajmniej ta pisana małą literą, się skończyła. Pierwszy szok dla elit przyszedł wraz z „wojną na górze”. Nie każdy chciał poddać się nowemu. Przy czym znów, jak w czasach PRL, zabrakło początkowo zjednoczenia różnych grup wykluczonych przez II RP. Ci, którzy oberwali raczej ekonomicznie, często swego ratunku upatrywali w postkomunistach. Problem w tym, że choć ci do władzy po raz pierwszy wrócili pod hasłem: „Tak dalej być nie musi”, w praktyce pogodzili się z tym przymusem. Lecz gdy znów wracali do władzy, nawet Paweł Kukiz, późniejszy przywódca oddolnego buntu, nie miał litości dla tych, którzy wybrali lewicę, przedstawiając ich w swej piosence jako najgorszy społeczny margines. „Powróćże Komuno w góry i nad morze/ Znowuż będzie można z pola ukraść zboże/ [...] Żeby pospać mogli sobie za maszyną/ Żeby nic nie robić i pić tanie

eprasa.pl 477b630995

wino" – śpiewał więc Kukiz i choć na pewno charakterystyka ta dobrze opisywała sporą grupę wyborców ówczesnych postkomunistów, to jednak w diagnozie szła na skróty – przecież ten sam Kukiz III RP potrafił opisać bardzo czujnie i bardzo krytycznie. Wykluczeni ideowo z kolei, pozostający z biało-czerwonymi flagami i różańcami, poza radosnym, biegnącym z zawiązanymi oczami ku Europie tłumem zerkali ku kolejnym formacjom prawicowym. Po pełnej pogardy propagandzie wobec „wczesnego" Lecha Wałęsy, element klasowy w dyskursie publicznym przebrał się w ostrzeżenia przed tak przerażającymi środowisko „Gazety Wyborczej" polskimi demonami, które porwać miały polski lud uśpiony przez czasy komunizmu. Dlatego też ikona tego środowiska, ks. Józef Tischner, dostrzegał w Polakach „homo sovieticusa", „niewolnika szukającego nowej niewoli".
Na to samo zresztą, czego bała się Unia Wolności, na co często zwracał uwagę Rafał Ziemkiewicz, liczyła w swych politycznych opowieściach prawica. I udało się – do pewnego stopnia – gdy w 2015 roku wreszcie pożeniono w pełni retorykę patriotyczną i godnościową ekonomicznie. Nie znaczy to, że PiS nie próbowało tej drogi już w 2005 roku, jednak dekadę później, z Andrzejem Dudą i Beatą Szydło jako symbolami nowego otwarcia, było w tym bardziej wiarygodne. Roku 2007 nie możemy jednak lekceważyć. Już w pierwszej kadencji PiS próbowano przedstawić tę partię jako formację antyinteligencką. Całą potężną medialną narrację zbudowano wówczas na słowie „wykształciuchy", użytym przez Ludwika Dorna w zupełnie innym od żyjącego w społecznej (nie)świadomości kontekście. W 2007 roku kampania wyborcza na poziomie zwykłych odbiorców budowana już była na antynomii „fajnej, nowoczesnej Polski" i zaścianka. To wtedy na dobre zagościła w naszej świadomości zbitka „młodzi, wykształceni z wielkich miast". W 2011 roku Platforma utrzymała władzę pomimo psujących się nastrojów społecznych, ponieważ znów postraszyła swoich wyborców złowrogą masą. Trochę jednak się z tym zapędziła i w kolejnych latach zniechęciła do siebie kilka nowych środowisk. I to zemści się na niej kilka razy, również – w 2025 roku.

Nie ma takich ludzi

Lata kolejnych rządów PiS to czas wciąż dobrze przez nas pamiętany, również od strony elitarnej pogardy. Do dawnych klisz doszła jeszcze pogarda do osób biorących świadczenie 500+, które zaroiły się na wydmach, psując wypoczynek ciężko pracującym elitom. Dobudowano do tego całą opowieść, w której rządzący przekupywali margines społeczny i w ten sposób utrzymywali się przy władzy. Media pełne były zmyślonych opowieści, straszono nawet pojawieniem się „sierot 500+", dzieci, których rodzice mieli zapijać się na śmierć za pieniądze z nowego rządowego programu. Elementy tej propagandy dotrwały nawet do kampanii wyborczej w 2023 roku. I choć Donald Tusk zapowiadał utrzymanie programów społecznych, równocześnie mówił zachwyconym wyborcom, że „Wszystko w Polsce od kilku lat jest postawione na głowie, tzn. królami życia są ci, którzy chleją, biją swoje dzieci, biją kobiety i pracą się nie zhańbili od wielu lat. Wymarzona klientela polityczna dla władzy, która sama ma sposób myślenia bardzo podobny do tej klienteli".
W podobne tony uderzali i uderzają ludzie z intelektualnego zaplecza władzy, na czele z prof. Radosławem Markowskim, wciąż święcie przekonanym o tym, że to jego ciężka praca utrzymuje nierobów w rodzaju rolników, hutników czy górników. Dla podobnie myślących ludzi utrata władzy przez Zjednoczoną Prawicę wydawała się powrotem do danej raz na zawsze normalności. Wybory prezydenckie miały być ostatnim akordem tego procesu. Kampanii wyborczej towarzyszyła od początku nieznośna, wyższościowa opowieść o Rafale Trzaskowskim, inteligencie z rodziny inteligentów, niesłychanie zdolnym, elokwentnym i światowym. Aktor Michał Żebrowski opowiadał w TVP w likwidacji Dorocie Wysockiej-Schnepf o Rafale Trzaskowskim jako najmądrzejszym człowieku, z jakim zetknął się w życiu, świetnym uczniu, znakomitym organizatorze, ulubieńcu zarówno rówieśników, jak i nauczycieli. „Nie ma takich ludzi" – kokietowała widza dziennikarka, na co Żebrowski, prywatnie od lat przyjaźniący się z prezydentem Warszawy, odpowiadał cichym, lecz

> GDY WARSZAWSKI INTELIGENT WZIĄŁ NA SIEBIE CIĘŻAR PRZEPROWADZENIA REFORM, PRACOWNICY WZIĄĆ MIELI NA SIEBIE ICH SPOŁECZNY KOSZT.

eprasa.pl 477b630995

pełnym oddania głosem, że są. Choć ludzie Platformy prawie do końca nie wierzyli w możliwość wygranej Karola Nawrockiego (wielu z nich nie wierzy w nią również dziś, lecz już z innych powodów), Rafał Trzaskowski od początku kreowany był przede wszystkim na polityka, który miał być przeciwwagą dla kandydata popieranego przez PiS. – Nie chcę kandydata o kibolskich manierach i relacjach z półświatkiem, gangsterami – nie imponuje mi to – mówiła więc aktorka Katarzyna Warnke, deklarując oddanie swojego głosu na Trzaskowskiego. Nawrocki, choć sam przecież z wyższym wykształceniem, traktowany był przez elity jak obcy, intruz i uzurpator, ponieważ nie miał za sobą inteligenckiej historii rodzinnej. To czyniło go gorszym nawet od Andrzeja Dudy czy Lecha Kaczyńskiego. I to – oczywiście między innymi – dało mu ostatecznie zwycięstwo.

Zemsta stadionów

Matka – introligatorka, ojciec – tokarz w Stoczni Gdańskiej. Wychowanie w gdańskiej dzielnicy Sielce, praca ochroniarza w hotelu, do dziś przedstawiana przez oponentów jako przykrywka do zarabiania na mniej etycznych rzeczach. Okazuje się, że wbrew starej nauce według bardzo wielu autorytetów moralnych praca jednak hańbi. I nie jest już ważne, że Nawrocki skończył studia, zrobił doktorat, kierował najpierw lokalnym odziałem, potem już całym IPN. Nieważne, że jest świetnym organizatorem, dawne miejsce pracy robi z niego przestępcę. Narasta wokół niego histeria, w którą wpisuje się sam premier. Jednak społeczna emocja jest inna. Kolejne grupy ludzi zaczynają widzieć w Nawrockim swoją historię, a w zazdrosnej próbie blokowania mu dostępu na zbyt wysokie w mniemaniu elit stanowisko – własne szklane sufity i bariery, które stawiała przed nimi III RP. Ci, którzy musieli zapracować na własne utrzymanie, nie mając dobrze ustawionych rodziców zapewniających im wygodny start, w nagonce na Nawrockiego dostrzegają nagonkę na siebie. W atakach na Nawrockiego jako „kibola" kibice dostrzegają cień dawnych medialnych wojenek wytaczanych im przez rząd. „Ludzie zobaczyli w Karolu Nawrockim, kibicu Lechii Gdańsk, kogoś, kto jest ciemiężony dokładnie w taki sam sposób, w jaki atakowało się «Starucha»" – komentował w 2025 roku dziennikarz Wojciech Mucha, sam związany z ruchem kibicowskim. „Kibolem" oponenci prezydenta nazywają do dziś. W komentarzach mniej więcej w tym samym czasie powraca, zdawałoby się już zapomniane, a jednak żyjące po ustaniu przyczyn swego powstania, określenie „banan", którym wiele osób etykietuje Rafała Trzaskowskiego. Chłopak z biednych bloków, będący jego zaprzeczeniem, wygrywa tę batalię, choć niewielu wróżyło mu wygraną. Robotnicze pochodzenie, ciężka praca, walka o swoje w życiu, środowisku, nawet w budowaniu rodzinnego szczęścia w wymagającym odwagi nietypowym układzie – daje siłę pozwalającą wygrać, a także – co przecież wcale nie zawsze jest oczywiste – doświadczenie pozwalające pozostać blisko ludzi również po zdobyciu upragnionej prezydentury. I to też trudno jest elitom Nawrockiemu wybaczyć, nawet gdy zbliża się rocznica wyborów. Narracja klasowa ma się świetnie, urodzenie w biednej dzielnicy i robotniczej rodzinie, a potem praca w hotelu okazują się dla samozwańczej elity niewybaczalne. Na szczęście w 2025 roku wybaczenie to było już do niczego niepotrzebne.

KAMPANII WYBORCZEJ TOWARZYSZYŁA OD POCZĄTKU NIEZNOŚNA, WYŻSZOŚCIOWA OPOWIEŚĆ O RAFALE TRZASKOWSKIM, INTELIGENCIE Z RODZINY INTELIGENTÓW.

OKAZUJE SIĘ, ŻE WBREW STAREJ NAUCE WEDŁUG BARDZO WIELU AUTORYTETÓW MORALNYCH PRACA JEDNAK HAŃBI.

eprasa.pl 477b630995

Korpo zaczęło się od rzemiosła

Monika Małkowska



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 477b630995

Nie rób niczego po dziadowsku, na pół gwizdka, bo to nie po chrześcijańsku. Jeśliś wierzący, wszystkie swoje obowiązki wypełniaj z należytą starannością i uwagą. I nie wymiguj się odmawianiem Godzinek, skoro nie wykonałeś(-łaś) zleconego ci zadania – takie mniej więcej przesłanie zawierała homilia abp. Adriana Galbasa, której wysłuchałam w Niedzielę Wniebowstąpienia Pańskiego. Pomyślałam: znakomicie pasuje do tematu o rzemieślnikach i ich historycznej roli w kształtowaniu się kapitalizmu.

Bezimienne ręce

Metropolita warszawski sformułował – choć nie to było przedmiotem jego kazania – esencję etosu rzemieślnika, dawnego rzemieślnika. Od zawsze rękodzielnicy byli wolnymi mieszkańcami miast wytwarzającymi ręcznie towary jakości zróżnicowanej, w zależności od potrzeb i zasobności sakiewki klienta. A społecznie? Ani chłopi, ani feudałowie, to oczywiste. Trochę robotnicy, trochę biznesmeni, trochę wytwórcy (producenci) dóbr i w pewnym sensie artyści. Jakby nie zwać czy łączyć, przez wiele wieków to był osobny gatunek człowieka, z pewną zawodową dumą. Niektórzy doszli do znacznych fortun, bo posiedli nie tylko sprawność rąk. Wyróżniała ich też kreatywność, czego w dawnych wiekach nie umiano nazwać, lecz każdy, kto posiadał zmysł estetyczny, zauważał różnicę między „zwykłym" poprawnym odtwórcą a kimś z twórczym polotem. Bez względu na specjalność i odbiorcę u rzemieślnika liczyła się perfekcja wykonawcza. Jednak doskonała jakość przedmiotu nie musiała przekładać się na sławę czy choćby na rozpoznawalność autora. Rzemieślnicy w zasadzie pozostawali bezimienni, chyba że umieszczali na swych produktach jakiś gmerk czy inną sygnaturę identyfikującą. Ale popularność nie miała dla nich znaczenia, „rozliczali się" z Bogiem i ze swoim sumieniem. Najbardziej wyrazisty przykład: w gotyckich strzelistych katedrach, gdzieś pod sklepieniem, na wysokości kilkunastu, kilkudziesięciu metrów pojawiały się znakomite rzeźby, wkomponowane w konstrukcję znakomite rzeźby, praktycznie niewidoczne dla ówczesnych wiernych, a zauważone i podziwiane dopiero dzięki współczesnym metodom rejestrowania architektonicznych detali.

Cechowa hierarchia

Tak właściwie czym byli i czym stali się rzemieślnicy? W późnym średniowieczu, gdy tworzyły się zręby kapitalizmu, rękodzielnicy stanowili ważne ogniwo w tym procesie. Tych specjalistów różnych branż zrzeszały cechy i dbały o ich dobrostan majątkowy, a także o doskonałe przygotowanie do zawodu. Takie prekorporacje chroniące interesy danego zawodu, reagujące na nieuczciwą konkurencję. Cechowa struktura była przejrzysta i niepodlegająca dyskusji. Na szczycie drabiny plasował się mistrz będący najczęściej również właścicielem warsztatu oraz szkolący innych; potem szli czeladnicy, już wykwalifikowani i pobierający wynagrodzenie od mistrza, lecz jeszcze bez własnej pracowni; na samym dole kręcili się uczniowie, zazwyczaj małolaty mieszkające u mistrza i na jego garnuszku, pobierające naukę gratis. Co ciekawe – taka sama forma zdobywania zawodowych umiejętności obowiązywała malarzy i rzeźbiarzy. Co więcej, oni też tworzyli cechy funkcjonujące na rzemieślniczych zasadach.

Fach czy natchnienie

„Artizani" dostarczali przedmioty codziennego użytku dla mieszczuchów, zamożniejszych klientów zaś zaopatrywali w obiekty ekskluzywne, zbytkowne: biżuterię, ozdobne naczynia, tkaniny, stroje paradne, zbroje... I to już były wysokie progi zawodowego wtajemniczenia. Rozpoznawalność zyskały poszczególne warsztaty, a w wyjątkowych przypadkach również autorzy szczególnie udanych dzieł. W renesansie sytuacja zaczęła się komplikować. Niektórzy twórcy otoczeni sławą, publicznie rozpoznawalni, parali się też – jak byśmy dziś powiedzieli – projektowaniem. Tacy geniusze jak Michał Anioł czy Rafael mieli na koncie projekty rozmaitych przedmiotów, oczywiście nie tylko utylitarnych, nade wszystko kunsztownych i kosztownych. Nie mówiąc o Leonardzie, autorze mnóstwa przedmiotów najróżniejszego przeznaczenia. O randze najwybitniejszych artystów w renesansowych Włoszech najlepiej świadczy przydomek „Il divino", oznaczający „boski" talent. Czy można się dziwić, że niemiecki geniusz Albrecht Dürer, zakosztowawszy w Italii gwiazdorstwa, w swej ojczyźnie czuł się pokrzywdzony przez rodaków? Dorobek największego mistrza

> OD ZAWSZE RĘKODZIELNICY BYLI WOLNYMI MIESZKAŃCAMI MIAST WYTWARZAJĄCYMI RĘCZNIE TOWARY JAKOŚCI ZRÓŻNICOWANEJ, W ZALEŻNOŚCI OD POTRZEB I ZASOBNOŚCI SAKIEWKI KLIENTA.

eprasa.pl 477b630995

miedziorytu i drzeworytu wciąż uchodził bowiem za pracę rzemieślnika, do powielania której mieli prawo wszyscy. Zapamiętajcie to nazwisko nie tylko ze względu na sztukę, także ze względu na rewolucję, której Dürer dokonał w prawie autorskim: wywalczył pozwolenie na powielanie – we współczesnym rozumieniu: reprodukowanie – własnych kompozycji. Bo wcześniej każdy mógł kopiować – czytaj: skraść – kompozycje będące wynikiem wielomiesięcznej lub wieloletniej pracy. Uważam, że to Dürera powinno uznać się za pioniera walki o prawa autorskie artystów, a także podniesienie statusu rzemieślników.

Geniusze pracy fizycznej

No to cofnijmy się do starożytności. Przez setki, a raczej tysiące lat praca ręczna była ceniona o tyle, o ile została perfekcyjnie wykonana. I gdy była potrzebna. Partaczom mówiono „dziękuję" i nie korzystano z ich usług, wybitnie uzdolnionych zaś wynoszono... nie, wcale nie wynoszono, nawet nie upowszechniano ich imion, tylko lepiej opłacano. Większość pomyśli – tacy Fidiasz, Poliklet, Myron, Lizyp (o ile zna te miana) – to byli goście! Przecież dzięki nim dziedzictwo rzeźbiarskie starożytnej Grecji znane jest do dziś. A tam, cicho być! W V w. p.n.e. ci geniusze uchodzili za pracowników fizycznych, których praca w hierarchii społecznej plasowała się niżej niż praca umysłowa. Rzeźbiarze antyku zrzeszali się w cechach i warsztatach, wybierając kategorie, którym chcieli się poświęcić. Jedni doskonalili się więc w dziełach religijnych, inni w pracach użytkowych, takich jak dekorowanie świątyń, jeszcze kolejni w pomnikach władców.

> TACY GENIUSZE JAK MICHAŁ ANIOŁ CZY RAFAEL MIELI NA KONCIE PROJEKTY ROZMAITYCH PRZEDMIOTÓW, OCZYWIŚCIE NIE TYLKO UTYLITARNYCH, NADE WSZYSTKO KUNSZTOWNYCH I KOSZTOWNYCH.

Rzemieślnik, który stworzył bogów

Co zadziwia: choć dzieła Fidiasza (ok. 490–430 p.n.e.), największego rzeźbiarza greckiego antyku, nie dotrwały do współczesności, pamięć (i dane) o nich oraz autorze trwa do dziś. Bo to ten, który „dał Grekom bogów", a raczej – ucieleśnił ich. Dwa największe arcydzieła to posągi Ateny Partenos i Zeusa Olimpijskiego. Obydwa monumenty (mierzące kilkanaście metrów wysokości) wykonane były z wielu materiałów, ale najwięcej na to poszło złota (na szaty) i kości słoniowej (na części twarzy, torsu, rąk, stóp), plus drewno hebanowe jako konstrukcja. Rzeźbiarza cenił Perykles, wybitny polityk, reformator demokracji ateńskiej, na który to ustrój tak chętnie się do dziś powołujemy. Perykles nie zważał na społeczną przepaść między nim a rzemieślnikiem Fidiaszem. Co więcej, zorganizował fundusze na budowę Partenonu na Akropolu ateńskim, dając Fidiaszowi nadzór nad robotami budowlanymi, czym ten m.in. trudnił się między 447 a 438 p.n.e. Zachowały się też przekazy o sposobie pracy Fidiasza. Podobno w przypadku prac rzeźbiarskich na Akropolu i w Olimpii wszystkiego doglądał osobiście, wszędobylski i znakomicie organizujący robotę podwładnym. Macie pojęcie? Rzemiecha? Raczej inżynier i doskonały menago.

Czym zajmuje się Atena?

Świątynia trwała wieki w nienaruszonym stanie, nieco cierpiąc w pożarze pod koniec panowania rzymskiego. Jednak ok. 600 roku zamieniono ją na kościół chrześcijański, usuwając niektóre rzeźby, w tym Atenę Fidiasza. Potem było panowanie tureckie, podczas którego świątynię zamieniono w meczet, następnie w... magazyn amunicji. Na początku XIX w. większość ocalałych rzeźb (za zgodą rządu tureckiego) wywieziono do Anglii jako tzw. Marmury Elgina i w 1816 roku sprzedano British Museum. Teraz ciekawostka: Partenon jest nie tylko w Grecji. Pełnowymiarową replikę świątyni wzniesiono w Nashville w stanie Tennessee w 1897 roku z okazji wystawy Tennessee Centennial and International Exposition. We wnętrzach budowli urządzono sale ekspozycyjne na potrzeby ówczesnej sztuki, jednak użyto tandetnej gładzi szpachlowej, która szybko zaczęła odpadać z reliefów i rzeźb. Ameryka jednak się nie poddała – w 1920 roku zrekonstruowano rekonstrukcję z użyciem lepszych surowców, co zajęło 11 lat. A 20 maja 1990 roku we wnętrzu budynku kopii odsłonięto kopię posągu Ateny Partenos autorstwa rzeźbiarza Alana LeQuire. To nie koniec drugiego (może trzeciego?) życia patronki mądrości, sztuki, sprawiedliwej wojny i... rzemiosła!

eprasa.pl 477b630995

Wyparowało z parą

XIX wiek należał do przemysłu i fabryk, gdzie instalowano urządzenia odbierające sens i wartość ręcznej, pojedynczej robocie. I kiedy już wydawało się, że towary wytwarzane seryjnie zdobyły całkowitą przewagę nad obiektami wykonywanymi w jednym jedynym egzemplarzu jako tańsze i ogólnodostępne. I nagle coś tąpnęło. Blakł zachwyt dla produkcji powielanej maszynowo, wracała zaś fascynacja obiektami unikatowymi. Powody tego procesu były dwojakie i niejako sprzeczne. Z jednej strony popyt na obiekty istniejące w pojedynczych egzemplarzach narzucali arystokraci i ludzie szlachetnie urodzeni, co napędzało podobny snobizm u nowobogackich. Chodziło o poczucie przynależności do grupy zamożnych i wyrafinowanych/edukowanych estetycznie. Po przeciwnej stronie plasowali się niektórzy propagatorzy idei demokratyczno-lewicowych, opowiadających się za włączeniem rękodzielników do kategorii bliskiej robotnikom.

Mariaż sprawności i kreatywności

Pracę rzemieślników docenili i dowartościowali artyści. W 1888 roku w Anglii narodził się ruch Arts and Crafts zrzeszający malarzy, rzeźbiarzy, architektów i rzemieślników różnych specjalności. Przyświecała im idea tworzenia sztuki użytkowej dla całego społeczeństwa, której funkcjonalność miała iść w parze z walorami estetycznymi. Koncepcję podrzucił pisarz/historyk sztuki/krytyk John Ruskin; ideę przejął William Morris, wywodzący się z ruchu prerafaelitów, założyciel firmy Morris & Co (1861), w której tworzono meble, tkaniny, witraże, tapety oraz przedmioty codziennego użytku. I wiecie, udał się ten mariaż. Członkowie Arts and Crafts założyli własną szkołę Guild and School of Handicraft, kształcącą przyszłych artystów-rzemieślników. Kult tamtego przedsięwzięcia trwa do dziś. Kilka lat temu byłam w Red House pod Londynem, domiszczu otoczonym wielkim parkiem. Czarodziejskie miejsce, w którym uzewnętrznione zostały idee Ruskina. Tamże wciąż odbywają się warsztaty rękodzielnicze i nadal odtwarza się (ręcznie!) printy według wzoru sprzed ponad stulecia. Zapewniam – nie brak chętnych.

Warsztatowa godność

W Anglii się zaczęło, wkrótce rozprzestrzeniło na kilka krajów Europy i świata. Wcale nie szło falami. W amerykańskim Bostonie, centrum przemysłu wełnianego, w 1897 roku powstało Stowarzyszenie Sztuki Rzemiosła (Society of Arts and Crafts). Ale to nie miało międzynarodowego promieniowania – za to Warsztaty Wiedeńskie (Wiener Werkstätte, 1903) narobiły szumu na wielu poziomach. Miała to być pracownia rzemieślnicza założona przez Kolomana Mosera (malarza, grafika, projektanta) oraz Josefa Hoffmanna, architekta, projektanta mebli, tkanin, szkła, metaloplastyki i jubilerskich cacek. Zainspirowani ruchem Arts and Crafts, a także ideami Secesji Wiedeńskiej obydwaj panowie ruszyli do dzieła, postulując równe traktowanie rzemieślnika i projektanta, którzy mieli wspólnie sygnować ukończony produkt. Niestety, po paroletnim powodzeniu Wiener Werkstätte, lansujących formy proste i dostępne dla każdego domu (czytaj: sakiewki), upodobania się zmieniły, a po 1915 roku wróciła moda na ekskluzywność i dekoracyjność.

BLAKŁ ZACHWYT DLA PRODUKCJI POWIELANEJ MASZYNOWO, WRACAŁA ZAŚ FASCYNACJA OBIEKTAMI UNIKATOWYMI.

Tam, gdzie kasa

Jeszcze po II wojnie polskie Akademie Sztuk Pięknych (a były dwie: w Krakowie i Warszawie) koncentrowały się na naukach technik niezbędnych dla malarza, rzeźbiarza, grafika warsztatowego. Z czasem specjalności użytkowe, projektowe zyskiwały coraz więcej pracowni i ciał pedagogicznych, a nade wszystko – adeptów. Obecnie te właśnie kierunki dominują na plastycznych uczelniach z powodu, którego chyba nie ma co dokładnie wyjaśniać: gwarantują zawód przynoszący dochód. Konkret. Rzemieślnik stał się kimś o większym prestiżu niż artysta-pięknoduch. Zresztą zmieniło się też nazewnictwo. Projektantów strojów – i to wcale nie tych o światowej sławie – mianuje się twórcami, kreatorami, bożyszczami. Teraz „boski" bywa ciuch, a „miłość" należy się parze trampek. Tylko wciąż nie wiadomo, kim jest rzemieślnik – wykonawcą czy współautorem dzieła? Twórcą nowatorskich kreacji czy „przekładaczem" cudzych idei na wizualną mowę ogólnie zrozumiałą? A może rozróżnienia zawodów, funkcji i skali „niezależności" już nie mają znaczenia? I rękodzielnicy wciąż istnieją, ale oni sami nie wiedzą, do jakiej kategorii należą. Jedni wpychają się na pierwszą linię sztuk wizualnych, inni dłubią coś tam i dopiero pośmiertnie ktoś wrzeszczy: „Wow, to był geniusz!". S

eprasa.pl 477b630995

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Marek Nowakowski był pisarzem o kultowym statusie. Życiorys miał niepokorny – a momentami bywał wyklęty. I tacy byli też bohaterowie jego prozy. Próbkę tego stylu i tych tematów prezentujemy dziś w naszym cyklu z okazji 45-lecia „TS”. **Oto opowiadanie, które ukazało się w nr. 45 „Tygodnika” 5 listopada 1993 r.**

Opowiadanie

Nawet trawa nie wyrośnie!...

Marek Nowakowski

Było to podczas pogrzebu jednego z ostatnich wiekowych członków naszej rodziny, i kuzyn Staś, wskazując na pewnego uczestnika konduktu, powiedział z przejęciem: – On pierwszy przewidział wszystko!

Przyjrzałem mu się dokładnie. Starszy mężczyzna niskiego wzrostu, długi, staromodny paltot i pilśniowy, zgnieciony kapelusz w dłoni. Twarz miał ogorzałą, posiekaną ostrymi zmarszczkami i nieliczne pasemka włosów na białej łysinie. Wyglądał na człowieka, który w swoim życiu dużo przepracował fizycznie w skwarze i słocie. Podeszliśmy do niego i kuzyn Staś przywitał się z nim serdecznie. Potem mnie przedstawił. Tamten uścisk spracowanej, szorstkiej dłoni miał twardy i oczy uważne, przenikliwe. Potoczyła się rozmowa o wnukach, chorobach, wysokości emerytur i wspólnych znajomych, którzy odeszli do wieczności. Starsi panowie gwarzyli tak jak zawsze gwarzą podczas takich spotkań. Słuchałem nieuważnie. Zaczęła się ceremonia nad grobem i rozmowa urwała się.

Dopiero później podczas stypy kuzyn Staś opowiedział mi o tym niczym nie wyróżniającym się człowieku, spotkanym na cmentarzu, który był jego dowódcą z czasu okupacji. Przysłała go do leśnego oddziału komenda okręgu. Sprawnie zajął się wyszkoleniem i organizacją jednostki. Formował drużyny i plutony. Wprowadził dyscyplinę i żelazne reguły do tego zbiorowiska maturzystów, chłopskich synów, inteligentów, wśród których kilku zaledwie posiadało jakiś tam żołnierski staż. W sprawach wojskowych fachowiec. Niepozorny, nigdy nie krzyczał. Jednak szybko zdobył sobie autorytet wśród tych młodych chłopców. Zaimponował im zimną krwią, refleksem i odwagą. Bardzo był biegły w strzelaniu. Nikt w tym nie mógł mu dorównać. Sam o sobie mówił niewiele i wynikało z tego, że przed wojną był zawodowym podoficerem KOP, brał udział w kampanii wrześniowej i drogą przez Karpaty przedarł się na Zachód. Stamtąd po specjalnym przeszkoleniu został zrzucony do kraju. Nim znalazł się w tym leśnym oddziale, operującym w okolicach Siedlec, działał w wywiadzie Komendy Głównej AK na wschodnich rubieżach Polski. Wkrótce pod jego dowództwem zaczęli odnosić sukcesy w walce z okupantem. Głośnym ich wyczynem było zdobycie posterunku żandarmerii. Nie mniejszym zasadzka na auto z szefem siedleckiego gestapo. Nie mówiąc już o wysadzaniu transportów kolejowych z bronią i amunicją, kierowanych na front wschodni. Ciężką dla nich próbą bywały wyroki na konfidentach. Tyle wymagały zimnej krwi i stłumienia wszelkich ludzkich odruchów.

Po tylu, tylu latach kuzyn Staś, opowiadając to wszystko, ożywił się niezmiernie i wydawał się znacznie młodszy. Jego zmęczona, szara twarz schorowanego człowieka w podeszłym wieku zarumieniła się i oczy mu rozbłysły dawnym blaskiem. Nie szczędził pochwał

eprasa.pl 477b630995

dowódcy, który przed każdą akcją rozważał starannie szczegóły operacji i oni, młode, gorące głowy, akceptowali jego chłodną kalkulację. Był jak szachista przewidujący zawsze posunięcia przeciwnika. W ogóle starali się naśladować flegmatyczny sposób mówienia dowódcy, jego chód, sposób palenia papierosów, a szczególnie ten szybki ruch ręki, kiedy wyciągał broń zza pasa.

Lecz najtrwalej zapisały się w pamięci kuzyna Stasia ostatnie dni przed zbliżającą się ofensywą sowiecką. Już słychać było bliską kanonadę artyleryjską i widoczne były dymy i ognie wybuchów. Wtedy to ich dowódca wystąpił z szokującą propozycją. Jak zawsze posłużył się zwięzłą formułą i nie wdając się w dłuższe wywody, skonstatował koniec okupacji niemieckiej i rychłe nadejście okupacji sowieckiej. Zaczną się deportacje do łagrów, aresztowania, prześladowania. Przedstawiwszy w ten mniej więcej sposób zarys sytuacji, która niebawem nastąpi, zaproponował likwidację komórek PPR w okolicy i tego niewielkiego oddziałku partyzantki komunistycznej, skrytego w sąsiednim kompleksie leśnym. Tak to wyraził, bez żadnego kamuflażu, a oni milczeli.

Byli wstrząśnięci. Miał już przygotowaną zawczasu listę nazwisk. Wyciągnął świstek papieru z kieszeni i wygładzać zaczął na kolanie. Uzasadnił powód tego rozwiązania stanem wyższej konieczności.

– Jeżeli my ich nie wyplenimy do szczętu – powiedział bez cienia wątpliwości – to sami zakładamy sobie stryczek na szyję. Spełnią oni rolę informatorów NKWD i bezpieki. Gwarantuję to wam słowem honoru oficera! Wyłuskają każdego z nas jak groch ze strąka.

Oni dalej milczeli. Dowódca zapalił papierosa i przyciskał na kolanie kartkę papieru, gęsto zapisaną kopiowym ołówkiem. Wszyscy spoglądali na ten papier prasowany metodycznym ruchem jego dłoni.

– Tam, gdzie przejdzie komunizm, nawet trawa nie wyrośnie – tym metaforycznym powiedzeniem, jedynym poetyckim akcentem rzeczowej propozycji, zakończył swój wywód i powiódł po nich zimnym, skupionym spojrzeniem.

Ocknęli się z osłupiałego milczenia. Rozgorzała burzliwa dyskusja. Zgodnie potępiali to okrutne rozwiązanie. Nie będą postępować na wzór okupantów, najeźdźców, skrytobójczych zbrodniarzy. Nie chcą kalać swych rąk krwią braci, rodaków. I dalej w tym duchu. Było w nich tak wiele szlachetnego oburzenia. Nawet namiętne oskarżenie inicjatora.

Dowódca słuchał z nieruchomą twarzą. W pewnym momencie na jego twarzy zaznaczyło się lekkie zniecierpliwienie. Stanowczym ruchem ręki przerwał ten zgodny chór protestu. Wstał, obciągnął kurtkę, poprawił broń w kaburze i powtórzył jakby do siebie, wpatrzony



KULTURA 15

Nawet trawa nie wyrośnie!...

MAREK NOWAKOWSKI

Pierwsza Warszawska Jesień Plastyki

U NALDKA

w dogasające ognisko: – Zobaczycie, nawet trawa nie wyrośnie...

Kuzyn Staś, który siedział najbliżej, słyszał doskonale jego słowa. Jeszcze widział, choć tego nie jest tak bardzo pewien, jak wraz z niedopałkiem papierosa wrzucił do ognia kartkę papieru, zgniecioną w małą kulkę.

Oddział został rozwiązany. Dowódca zniknął już następnego dnia. Kuzyn Staś wyjechał do Warszawy. Wkrótce dowiedział się o aresztowaniach jego kolegów z leśnego oddziału. Enkawudziści szli pod wskazane adresy i wybierali ich jak z saka. Niektórych torturowano i zamęczono w piwnicach bezpieki. Kilku zastrzelono podczas próby ucieczki. Byli też tacy, którzy wyrazili gotowość współpracy z nową władzą. Większość zaś osadzono w obozie pod Rembertowem i stamtąd wywieziono ich za Ural. Kuzyn Staś zaczął się ukrywać.

– Później w moim życiu były takie chwile – powoli waży słowa – kiedy żałowałem, że jego nie posłuchaliśmy. Ale przecież tak na zimno nie mógłbym tego zrobić. Nie!

Zresztą – dodaje – ich nie można tak wydusić do szczętu. Zasze ktoś by pozostał.

Rozkłada bezradnie ręce. Opuszcza głowę. Pewno znów słyszy tamten, niezapomniany głos dowódcy.

eprasa.pl 477b630995

Kryptodyktatura już nie KRYPTO

Nękanie dziennikarzy, blogerów czy polityków fałszywymi zgłoszeniami o zagrożeniach lub przestępstwach to nie jest tylko eskalacja prześladowań. To **objaw zepsucia i degeneracji władzy**, która przestała kontrolować stosowane przez siebie represje. Najmocniej niszczą one jednak samych rządzących.

Mariusz Staniszewski



WCHODZENIE SIŁĄ DO DOMÓW DZIENNIKARZY KRYTYCZNEJ WOBEC WŁADZY STACJI TO PRZYZNANIE, ŻE NIEZALEŻNE OD SIEBIE MEDIA WŁADZA TRAKTUJE JAK WROGA.

Tomasz Sakiewicz

Fot. Maciej Luczniewski / Gazeta Polska / Forum

eprasa.pl 477b630995

Można by napisać, że ekipa Donalda Tuska przekroczyła kolejną barierę, ale przecież tyle ich już było, że następne nie powinny robić już na nas żadnego wrażenia. Jednak nigdy dotąd w ramach politycznego odwetu i represji policja nie wkraczała do domów telewizyjnych gwiazd, gdyż doskonale zdawała sobie sprawę, jak grząski jest to grunt. Były wejścia do domów polityków, wizyty policji u emerytki po krytyce Jerzego Owsiaka, poszukiwania Tomasza Duklanowskiego w domu rodziców czy publiczne upokarzanie księdza Michała Olszewskiego. Jednak wchodzenie siłą do domów dziennikarzy krytycznej wobec władzy stacji to coś zupełnie innego. To przyznanie, że niezależne od siebie media władza traktuje jak wroga.

Ekipa PiS była na te kwestie wyczulona. W przypadku tak jawnego oszusta jak nieżyjący Kamil Durczok czy unikającego płacenia podatków Piotra Kraśki władza uważała, by nie powstało wrażenie, że rozliczanie z przestępstw jest elementem politycznego odwetu. W spersonalizowanej polityce i publicystyce używanie aparatu przymusu wobec dziennikarzy – szczególnie znanych – jest przecież najlepszą receptą na przegrane wybory.

Choć ta ostrożność dawała telewizyjnym celebrytom coś w rodzaju immunitetu, to jednocześnie tworzyła sferę bezpieczeństwa dla tych, którzy krytykowali władzę. Nawet jeśli nie było do końca sprawiedliwie, to przestrzeganie zasad gry zapewniało wolność słowa tym, którzy wypowiadali się i pytali w imieniu społeczeństwa.

Nieznani sprawcy

Najwygodniejsza dla władzy jest wersja, że jacyś nieznani sprawcy informują policję o zagrożeniach w domach dziennikarzy i polityków, z czym rządzący nie mają nic wspólnego. Jeśli rzeczywiście taka byłaby prawda, ministrowie spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i koordynator służb specjalnych powinni zrobić wszystko, by sprawę jak najszybciej wyjaśnić. Tylko w ten sposób mogą odsunąć od siebie podejrzenia o eskalowanie represji wobec wolnych mediów.

Nic takiego jednak się nie dzieje. Szef resortu spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński stroi sobie żarty, pozostali nawet nie zabierają w tej sprawie głosu. Rozbawiony wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz udaje, że wszystko jest w porządku i śmiejąc się, przyznaje, iż dziennikarze i politycy PiS powinni się cieszyć z otaczającej ich opieki.

Żaden z członków rządu czy liderów koalicji nie odciął się od tych ataków. Nie potępił, nie domagał się szybkiego ukarania winnych, nie uznał tego za przekroczenie wszelkich granic. Widoczna jest raczej satysfakcja z powodu tego, że Tomasz Sakiewicz, Michał Rachoń czy Adrian Klarenbach przeżyli chwile stresu i niepewności. Jakby następowało wyrównanie rachunków krzywd – wy nas krytykujecie, wytykacie nam błędy, drwicie i kpicie z nas, to teraz dostaliście za swoje.

Uwolnione zło

Nie wiemy, na ile aparat państwa jest bezpośrednio zaangażowany w nękanie dziennikarzy. Jednak każdy kolejny dzień bez wyjaśnienia sprawy obciąża rząd Tuska. Udowadnia, że ma on coś do ukrycia.

Polskie służby dysponują całkiem sprawnymi specjalistami od ścigania cyberprzestępczości. Namierzenie wspomnianej emerytki, która napisała komentarz nieprzychylny szefowi Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, zajęło policji kilka godzin. U jej drzwi funkcjonariusze znaleźli się następnego dnia. Dlaczego więc nie mogą namierzyć osób, które kradną tożsamości przypadkowych ludzi i zgłaszają zagrożenia w domach dziennikarzy?

Powodów jest kilka. Ukaranie winnych tych przestępstw podważyłoby wiarygodność i intencje ekipy Tuska w oczach własnego elektoratu. Oznaczałoby przecież ściganie tych, którzy tak samo jak premier nienawidzą PiS i starają się wyręczyć rząd w poniewieraniu wrogów. Najbardziej radykalna część wyborców Koalicji Obywatelskiej uznałaby to za zdradę i strzelanie do swoich. Oni domagają się raczej ochrony za działanie w słusznej sprawie. Nawet jeśli ich postępowanie może być odebrane jako zbyt radykalne, to przecież tworzą z Tuskiem jeden front.

Dodatkowo trudno nie odnieść wrażenia, że najbardziej sfanatyzowane grupy zwolenników KO nie mają powiązań z aparatem władzy i służbami specjalnymi. Mamy wiele dowodów na to, że tworzący najbardziej ohydne przekazy i generujący fake newsy hejterzy byli i są zatrudniani w samorządach kierowanych przez polityków KO oraz w spółkach Skarbu Państwa. Są zatem opłacani z publicznych pieniędzy właśnie po to, by nękać i niszczyć wroga.

> ISTOTĄ FUNKCJONOWANIA TEJ EKIPY JEST ZAMIANA – JAK CELNIE OKREŚLIŁ JAN ROKITA – SPOŁECZEŃSTWA W MOTŁOCH.

Służby specjalne nie tylko posiadają więc o nich dokładną wiedzę, ale kontrolują także narzędzia, jakimi się posługują. Przykład kampanii prezydenckiej, gdy

eprasa.pl 477b630995

ujawniono materiały z teczki personalnej Karola Nawrockiego, które następnie lotem błyskawicy rozeszły się po mediach społecznościowych, wskazuje na to, że hejterzy są na usługach obecnego rządu. Muszą więc być nie tylko kontrolowani przez podległe mu służby, ale żyją z nimi w symbiozie.

W tej sytuacji odnalezienie autorów fałszywych alarmów oznaczałoby obnażenie podłości metod stosowanych przez obecną władzę.

Głos wodza

Dla fundamentalistów z KO akcja przeciwko tym ludziom byłaby nie do zaakceptowania. Przecież oni tylko realizują żądanie przywódcy, który ciągle domaga się politycznych igrzysk. Jeśli wielokrotnie pokazał, że prawicy nie obowiązują zasady praworządności, a konserwatyści są ludźmi drugiej kategorii, których można torturować, mimo ułaskawienia zamykać do więzień, wymuszać na nich zeznania, szantażować ich, zajmować majątek, fabrykować dowody, to dlaczego nieodpowiednie miałoby być nękanie ich fałszywymi alarmami.

Jeśli wódz domaga się rozprawienia z PiS i sam przyznaje, że idzie to zbyt wolno, to znaczy, że trzeba mu pomóc. Zatem nawet jeśli Tusk nie wydał wprost polecenia przeprowadzenia takiej akcji, to presja, jaką wywiera na swoich ministrach i ludziach służb, powoduje eskalację bandyckich metod.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że w czasie poprzednich swoich rządów Donald Tusk tak mocno rozbudził antypisowską psychozę, że doszło do zabójstwa Marka Rosiaka. W październiku 2010 roku Ryszard Cyba z bronią palną, nożem i paralizatorem wpadł do biura poselskiego Prawa i Sprawiedliwości z okrzykiem: „Nienawidzę PiS-u!", oddał osiem strzałów, z których cztery dosięgnęły Marka Rosiaka. Kilka miesięcy temu obecna ekipa wypuściła skazanego na dożywocie Cybę z więzienia, gdyż uznała, że nie jest już zdolny do odbywania służby.

Co prawda trafił z powrotem za kratki po tym, jak zaledwie kilkanaście godzin po wyjściu na wolność próbował zamordować kolejną osobę, ale sygnał był oczywisty. Wrogowie PiS mogą liczyć na szczególne traktowanie.

Spirala nie do zatrzymania

Skala nękania dziennikarzy pokazuje, że rząd najprawdopodobniej nie jest zdolny do opanowania. Być może zamieszanie i nagłośnienie sprawy spowoduje chwilowe wstrzymanie działań, ale nastroje politycznej wendety nie zmaleją. Na to obecna władza nie może sobie pozwolić, gdyż tylko to jeszcze mobilizuje jej elektorat.

Donald Tusk nie może pochwalić się żadnymi sukcesami. Nawet rzecznik rządu Adam Szłapka jako największą reformę uznaje wprowadzenie finansowania in vitro z publicznych pieniędzy. Pomijając kwestie światopoglądowe, nie jest to ani znacząca zmiana społeczna, ani gospodarcza.

Istotą funkcjonowania tej ekipy jest zamiana – jak celnie określił Jan Rokita – społeczeństwa w motłoch. Obecny premier jak nikt inny potrafi budzić w ludziach wszystko, co najgorsze – szczególnie pogardę wobec myślących inaczej. Nie tylko odmawia im człowieczeństwa, ale wzbudza u swoich wyznawców poczucie wyższości i misji – nie tylko mogą, ale wręcz powinni na każdym kroku rozprawiać się z PiS-owcami. Od polityków przez księży i związkowców po dziennikarzy.

> NIE MA CO LICZYĆ NA UKARANIE SPRAWCÓW. W OBECNYM SYSTEMIE WŁADZY WINNE MOŻE BYĆ TYLKO PiS I JEGO ZWOLENNICY.

Nękanie ich w domach nie jest więc wypadkiem przy pracy czy akcją „szaleńca", który na opak zrozumiał słowa swojego idola. Wręcz przeciwnie, to właśnie realizowanie jego woli. Dążenie do sprawienia mu satysfakcji i radości. Fanatycy pragną przecież zaspokoić żądania swojego guru. Za to oczekują nagrody, nie kary.

Nie ma więc co liczyć na ukaranie sprawców. W obecnym systemie władzy winne może być tylko PiS i jego zwolennicy. To oni odpowiadają za wszelkie zło. Krucjata przeciw nim jest chwalebna, nawet jeśli oznacza przekroczenie prawa.

To oczywiście brzmi, jakbyśmy się przenosili w czasie, gdy nieznani sprawcy byli zbrojnym ramieniem rządzących. To oni załatwiali sprawy przeciwników szczególnie uciążliwych dla władzy. Nie przez przypadek przecież jedną z pierwszych decyzji obecnego rządu było przywrócenie przywilejów emerytalnych byłym esbekom i ubekom. Obecna władza uznała ich za bohaterów dobrze służących Polsce, a prawa tego odmawia tym, którzy z komunistami walczyli. To nie była tylko symbolika, ale akceptacja wszelkich metod walki z prawicą.

Sięganie po doświadczenia starych ubeków demoralizuje jednak przede wszystkim tych, którzy się w to angażują. Ludzi aparatu władzy zmienia w członków gangu, w którym obowiązują wyłącznie reguły mafijne.

eprasa.pl 477b630995



Piotr Skwieciński

Być jak Erich Honecker

Kiedy w ZSRR nastał Michaił Gorbaczow i okazało się, że Kreml uważa, iż za dużo płaci za utrzymanie swej obecności w Europie Wschodniej i chce przestać, a tak najchętniej to by się w ogóle stąd zabrał, na rządzących w regionie komunistów padł blady strach. Największy zaś – na władców NRD, ci bowiem z różnych powodów czuli się najbardziej zagrożeni, i dobrze pamiętali wcześniejsze przymiarki wcześniejszych genseków do wycofania radzieckiego parasola znad ich państwa.

Dlatego zaczęli najpierw wysyłać na Kreml sygnały, a potem komunikować Rosjanom wprost: „Jeśli chcecie się od nas wycofać, powiedzcie to wprost i zawczasu. Uprzedźcie nas, towarzysze. Dla nas to będzie straszne, ale jeśli dacie nam trochę czasu, to będziemy coś kombinować, żeby się uratować. Zrozumcie, że najgorsze byłoby dla nas, jeśli porzucicie nas nagle". Rosjanie uspokajająco kiwali głowami, po czym...

Po czym z NRD stało się to, co się stało. Nagle i bez zapowiedzi.

Ta historia przyszła mi do głowy, kiedy pojawiła się informacja o de facto wycofaniu z Polski niemal połowy stacjonujących u nas żołnierzy amerykańskich. Wycofaniu, o którym nikt przedtem nie wiedział. Co wyglądało tak, jakby nam, tak jak NRD-owcom, nie dano możliwości, by zacząć coś kombinować. Bo po co Polacy mają kombinować? Przecież są częścią Europy, zrobimy z nimi to, co z całą Europą, a jeśli ktoś z nich wyobrażał sobie, że są dla nas czymś innym, no to dawnośmy się tak nie uśmiali.

Ja oczywiście wiem, że całą aferę udało się zneutralizować. Ale przecież sekwencja wydarzeń dowodzi, że decyzja o wycofaniu została podjęta, tylko potem ktoś przewalczył jej cofnięcie. Czyli że myślenie o Europie Środkowo-Wschodniej w kategoriach takich, w jakich o tym samym regionie myślała drużyna Gorbaczowa – czyli przeszkody, uciążliwości, kłopotu, a o Polsce jako po prostu jakiejś tam części Starego Kontynentu, w ekipie Donalda Trumpa jednak przeważa. I że po prostu ponadpartyjny odruch samozachowawczy amerykańskich państwowców zdołał tym razem przeważyć. Na długo? Na chwilę?

Ujawnienie wstrzymania rotacji, dodajmy, nastąpiło – cóż za przypadek – niemal równocześnie z pojawieniem się kremlowskich insynuacji wobec Łotwy, jakoby z jej terytorium startowały atakujące północną Rosję ukraińskie drony. Gdyby ktoś długo myślał nad pretekstem do rozpoczęcia przez Moskwę jakichś działań eskalacyjnych wobec wschodniej flanki NATO, nie wymyśliłby niczego fajniejszego. Nie, nie twierdzę, że ktoś to tak chytrze zgrał. Tylko że są to dwa elementy jednego procesu.

A drugim skojarzeniem, kiedy usłyszałem po raz pierwszy o wstrzymaniu rotacji, były słowa Podkomorzego z „Pana Tadeusza":

Ale muszę Waćpaństwu wyznać bez ogródki,
Że z tych niewczesnych bojów złe wynikną skutki;
Zbłądziliśmy i nikt tu z nas nie jest bez winy...

Bo choć decyzja (powtórzmy: potem cofnięta, ale przez moment istniejąca) o wstrzymaniu/wycofaniu została podjęta nie na skutek rozczarowania do Polski, tylko w efekcie szerszej refleksji programowej, właściwej ruchowi MAGA, dotyczącej (uwaga: modne słowo) deprioritetyzacji naszego kawałka świata, to trudno zarazem byłoby powiedzieć, by nasza klasa polityczna nie stworzyła atmosfery ułatwiającej takie posunięcia. Donald Tusk, publicznie kwestionujący wartość sojuszu z Ameryką czy demonstrujący obrzydzenie wobec możliwości „podbierania" żołnierzy US Army innym krajom europejskim, siał burzę. I teraz mało kto uwierzy, że wybuchła ona nie na skutek tego siania.

Aha, jeszcze jedno. Przypomnijmy, że wszyscy bohaterowie „Pana Tadeusza", z których nikt nie był bez winy, zostali (wybił to świetnie w swojej ekranizacji Andrzej Wajda) zmuszeni do zakończenia życia na emigracji. I nie na skutek decyzji współobywateli ani własnej. Po prostu wyrzucili ich z Polski Rosjanie.

Może warto to pamiętać.

eprasa.pl 477b630995

Jak przekupić pięknoduchów

Monika Małkowska

Są takie grupy zawodowe, o które obecny rząd dba szczególnie. Chodzi o jakąś branżę przemysłu? Transportu? Budownictwa? Nie, kochani, nie, bądźcie poważni! Donald Tusk i jego ekipa okazali się wyjątkowo zręcznymi „korumpantami" środowisk artystyczno-inteligenckich. Spłacają też trybut organizacjom, które ich poparły. Specjalną troską otoczyli tych, którzy „dzierżą rząd dusz" – by użyć patetycznego określenia, co w mowie pospolitej przekłada się na tych, co mogą napyszczyć i rozsnuć po kraju, a nawet po świecie, czarny PR dla władz. Twórcy różnych branż, od artystów wizu-



Prof. K. Kamkowski

eprasa.pl 477b630995

alnych, aktorów, poprzez muzyków, aż po kabareciarzy czy „satyryczny” komentariat w mediach typu „Kwiatki polskie”.

W cieniu majówki

Co do artystów – teoretycznie są niezależni, lecz myślą stadnie i mają rozgałęzioną siatkę cichych wpływów, dlatego są groźni. Jak się na kogoś zawezmą, ten ma przechlapane. A nic tak nie śmierdzi, jak paskudna opinia rozprzestrzeniana pocztą pantoflową. Najlepiej więc kupić ich poparcie czymś, za co zapłaci... całe społeczeństwo. W skali kraju nie jest to najliczniejsza grupa – ot, trochę ponad 60 tysięcy. Tyle osób według najnowszych danych statystycznych zakwalifikowano jako aktywne twórczo. W tym ekskluzywnym towarzystwie najwięcej jest muzyków, co mogłoby stwarzać wrażenie, że Polska jest wylęgarnią talentów spod znaku Terpsychory, choć jakoś nie przekłada się to na realia. I oto ministra kultury Marta Cienkowska wykonała mistrzowski manewr – późnym popołudniem 30 kwietnia br., w przededniu majówki, rzuciła triumfalne: „Mamy to!”. Ten taniec godowy przed społecznością twórców nosi nazwę opłaty reprograficznej. Cienkowska puchnie z dumy, że niby jej, właśnie jej, udało się wymusić na rządzie nowelizację ustawy dotyczącej opłat od urządzeń i nośników odtwarzających lub utrwalających utwory. Że na tym zyskają twórcy, tak bardzo niedofinansowani przez poprzednie władze. Pomijając pozakonstytucyjne implementowanie rozporządzenia (nie ustawy, jak to być powinno), ten pomysł to nic nowego. Od dawna była mowa o „rekompensacie dla twórców” za prawo do kopiowania ich dokonań przez konsumentów – muzyki, filmów, zdjęć czy książek. Tylko że... było mnóstwo zastrzeżeń. Przypomnę też, że opłata reprograficzna funkcjonuje w Polsce od 1994, a była nowelizowana w 2008 i 2011 roku. Na początku naszego ustrojowego przełomu sprawa była jasna: chodziło o ograniczenie piratowania utworów i kolportowania ich ze stratą dla autorów. Jednak od tego czasu zmieniły się technologie i sposób korzystania z treści.

> TUSK I JEGO EKIPA SPECJALNĄ TROSKĄ OTOCZYLI TYCH, KTÓRZY „DZIERŻĄ RZĄD DUSZ” – BY UŻYĆ PATETYCZNEGO OKREŚLENIA, CO W MOWIE POSPOLITEJ PRZEKŁADA SIĘ NA TYCH, CO MOGĄ NAPYSZCZYĆ I ROZSNUĆ PO KRAJU, A NAWET PO ŚWIECIE, CZARNY PR DLA WŁADZ.

PiS-owi na pohybel

Podchody do wprowadzenia obecnej noweli opłaty reprograficznej podejmowano w 2021 roku za PiS-u, jednak tamten rząd wycofał się z tego pomysłu pod wpływem krytycznych ocen. Tak naprawdę nie do końca było wiadomo, kto zyska, a kto za ten zysk zapłaci. Znowu powód do szydery i podsycania nienawiści do prawej strony: Gliński nie dowiózł, pisiory chciały „zagłodzić” artystów. Tym razem ministra Cienkowska pokazała ewentualnym oponentom fucka – wprowadziła przepis rozporządzeniem, poza jakąkolwiek debatą sejmową, nie mówiąc o konsultacjach społecznych czy możliwości interwencji ze strony prezydenta. I teraz wiadomo, kto sfinansuje tę daninę. My wszyscy. Bo to dodatkowe „bezdyskusyjne” opodatkowanie przy zakupie każdego urządzenia lub nośnika, poczynając od smartfonów, poprzez tablety, telewizory, pendrive’y, urządzenia wielofunkcyjne, aż do... kserokopiarek, drukarek atramentowych i laserowych oraz po papier A3 i A4. Rozporządzenie wejdzie w życie 6 miesięcy od ogłoszenia w Dzienniku Ustaw, nie zaś od 1 stycznia 2027 roku, jak pierwotnie mówiono, czyli już w październiku 2026 roku. Innowację fatalnie oceniła Fundacja Wolności Gospodarczej, klasyfikując opłatę jako de facto ukryty podatek.

Bonusy za lojalność

Cała koncepcja nasuwa wiele wątpliwości. Jej zwolennicy czy osoby mało zorientowane wzruszają ramionami: burza w szklance wody, rzecz rozbija się o nędzne 1–2% liczone od ceny netto wyżej wymienionych sprzętów, co daje raptem ok. 200 mln rocznie zysku. Fajnie, ale Polacy już płacą za legalne treści w serwisach streamingowych, co przyniosło naszym artystom tylko w 2024 roku i tylko ze Spotify prawie 190 mln zł. Poza tym opłata reprograficzna nie dokłada się do ogólnego wynagrodzenia twórców, lecz jest „odrębną

eprasa.pl 477b630995

kategorią unijną godziwej rekompensaty". Dlatego środki uzyskane z tego źródła wcale nie wesprą najsłabiej zarabiających twórców. Mają być rozdysponowane przez zarządy stowarzyszeń twórczych, takich jak ZAiKS (autorzy), SAWP (artyści wykonawcy), ZPAV (producenci muzyki), ZASP (aktorzy) i SFP (twórcy filmowi), SAiW Copyright Polska (autorzy i wydawcy). Podobno część środków zasili również fundusz ubezpieczeń społecznych dla freelancerów, w co chyba nikt nie wierzy. Nic z niej nie przyjdzie grupom zawodowym, których twórczość łączy się z wysiłkiem intelektualnym i gromadzeniem dużej wiedzy – publicystom, analitykom, komentatorom. Wątpliwości nasuwają się także co do zespołów decydenckich, wyłonionych z zarządów powyższych gildii. To kolejne korupcjogenne poletko, nieweryfikowalne z zewnątrz.

Ubu wiecznie żywy

Okazało się, że ludzie kultury wyjątkowo łatwo pozbyli się ideowości czy poczucia misji. Dotarło do nich, że w tym świecie bieda jednak hańbi, toteż opowiedzieli się za przywódcami, którzy sypią groszem. „Jeszcze raz mówię, że chcę zbić forsę, nie popuszczę ani grosika" – deklarował król Ubu, bohater groteskowego dramatu Alfreda Jarry'ego z 1888 roku. Pod tym oświadczeniem mogliby się podpisać nasi współcześni twórcy. A władza zdaje sobie sprawę ze słabości elit do hajsu. Stosuje więc różne metody: wobec niepokornych – zastraszenie, ewentualnie ośmieszenie, a co najgorsze – pozbawienie pracy na miarę ich umiejętności.

DO LUDZI KULTURY DOTARŁO, ŻE W TYM ŚWIECIE BIEDA JEDNAK HAŃBI, TOTEŻ OPOWIEDZIELI SIĘ ZA PRZYWÓDCAMI, KTÓRZY SYPIĄ GROSZEM.

Niech tam utalentowany muzyk jeździ „na taksówce", a znakomity publicysta utrzymuje się z pisania blurbów reklamowych – przecież nie umrą z głodu ani nie stracą honoru, jak się przebranżowią. Jest kim ich zastąpić. Artystów mamy na pęczki. Mogą być mierni, byle wierni. Jakby ziścił się (znów) „Rok 1984" George'a Orwella. Przypomnijmy sobie: w tej profetycznej powieści klasa partyjnych funkcjonariuszy stanowiła 2% populacji; szeregowi członkowie partii – 13%, „prole" (proletariusze będący grupą podludzi) zaś to aż 85% populacji. Wszystkich mentalnie ustawiało Ministerstwo Prawdy, którego celem były propaganda i nieustanne fałszowanie informacji. Przekładając na dzisiejszą nowomowę: media.

Manipulanci poglądowi

Orwell, rzecz jasna, odnosił się do systemu totalitarnego – komunizmu. Doświadczyliśmy tego miodu za PRL-u. Wtedy też władza otaczała opieką „swoich" twórców, a niszczyła opornych. Za stalinizmu artyści ochoczo zapisywali się do partii, bo wmówiono im, że tylko socjalizm pomoże odrestaurować wykończoną wojną ojczyznę. No i nastanie sprawiedliwość dziejowa. Teraz mamy kalkę z tamtych słusznie minionych (?) czasów. Znów przy kształtowaniu (i umacnianiu) lewicowych postaw zastosowano socjotechnikę: przekonano, że lewica równa się postęp i przynależność do Europy. Poza tym propagowanie w twórczości „właściwych" ideologii gwarantuje godziwe wynagrodzenie. Nie mniej sprytnym posunięciem było wmówienie twórcom wszelkiej maści, że są elitą. W efekcie artyści od najwybitniejszych po najsłabszych gotowi są wesprzeć twórczo (wystawą, koncertem, performance'em, dżinglem, skeczem) tylko tego, kto płaci. Formy gratyfikacji są różne – stypendia, granty, dotacje, fundacje. I wisienka na torcie: kasa z KPO, dowieziona artystom dzięki Koalicji Obywatel-

MINISTRA KULTURY MARTA CIENKOWSKA WYKONAŁA MISTRZOWSKI MANEWR – PÓŹNYM POPOŁUDNIEM 30 KWIETNIA BR., W PRZEDEDNIU MAJÓWKI, RZUCIŁA TRIUMFALNE „MAMY TO!".

eprasa.pl 477b630995

skiej. Nie minął nawet rok, od kiedy rozdysponowano 102 mln zł pomiędzy 920 podmiotów, eliminując pozostałych 3825 wnioskodawców. Największa dotacja – 855 tys. zł – przypadła Fundacji Widowisk Masowych, organizacji zajmującej się promocją kultury i dziedzictwem narodowym Ukrainy. Kto za tym lobbował? „Kominy" dotacji zadymiły też dla takich zagadkowych projektów jak „Kryzys przywództwa w kulturze: Cyfrowy kongres sukcesji" Marcina Andrzejewskiego (284 tys. zł) czy dla łódzkiego Teatru Kamila Maćkowiaka (310 tys. zł). Przepadły za to wnioski m.in. Zachęty, Wawelu, Zamku Królewskiego i Opery Narodowej. Jak mówili aplikujący: rosyjska ruletka.

BYĆ MOŻE W MENTALU PARTII JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO POKUTOWAŁ MIT BARDÓW W RODZAJU JANA KRZYSZTOFA KELUSA, JACKA KACZMARSKIEGO CZY PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO.

Przebrzmiała ideowość

Inny przykład: w 2018 roku Rafał Trzaskowski dostał niesamowite wsparcie od celebrytów w akcji zwanej „Głosem głosuję". Podobny zryw twórców wydarzył się podczas kampanii wyborczych (prezydenckich i samorządowych) prezydenta Warszawy. Za każdym razem chodziło też o wzmocnienie więzów tożsamościowych i o podkręcenie rozziewu wśród twórców – kto z Koalicją Obywatelską, a kto przeciw Zjednoczonej Prawicy. A że artyści nie grzeszą rozumem ani odwagą, do tego są pazerni i łasi na awanse, zgadnijcie, jaki był/jest tego efekt. I powiem szczerze – PiS mnóstwo straciło, ignorując potencjał tkwiący w kulturze. Być może w mentalu partii Jarosława Kaczyńskiego pokutował mit bardów w rodzaju Jana Krzysztofa Kelusa, Jacka Kaczmarskiego czy Przemysława Gintrowskiego, koncertujących w piwnicznych izbach w zamian za oklaski. Albo legenda grafików-projektantów za największą chwałę poczytujących sobie upowszechnienie znaku Solidarności (Jerzy Janiszewski, 1980 rok) czy plakatu wyborczego na 4 czerwca 1989 roku (Tomasz Sarnecki), niedomagających się monetaryzacji swych dokonań ani egzekwowania praw autorskich. Stąd nieprawdopodobna liczba parafraz „na motywach" ich kultowych prac. Nie byli to jedyni twórcy, ideowo i niekoniunkturalnie opowiadający się przeciwko komunie i jej schedzie. Z czasem znikali. Rzec można – tonęli w gwałtownie komercjalizującym się świecie, do którego nie mieli dostępu. Tymczasem, kiedy jeszcze był czas, trzeba ich było dowartościować w jedyny dobry sposób, znany odkąd Fenicjanie wymyślili środki płatnicze.

Miłość dobrze płatna

Ale dość gorzkich żalów – teraz uczcie się, chłopaki, na błędach i patrzcie, jak obecni decydenci rozgrywają tych z pozoru niezawisłych. Obecne władze wiedzą, że artysta „wolność kocha i rozumie; wolności oddać nie umie", tylko trzeba im za tę miłość zapłacić. Tej „kreatywnej" kategorii zawodowej nie zależy na dialogu społecznym – bo wsparcie czy bodaj akceptacja rodaków serdecznie im dynda. Podwieszeni pod garnuszek publiczny lub/i subsydiowani przez sponsorów: NGO, samorządy, fundacje krajowe i zagraniczne czy najrzadziej przez prywatnych mecenasów, nie zwracają większej uwagi na „zwykłych" obywateli ani nie liczą się z ich opiniami – choć przecież to z ich podatków żyje im się coraz lepiej. Co znamienne – w ubiegłym roku liczebność ludzi kultury powiększyła się o 2400 osób wobec stanu z 2018 roku. I ta liczba rośnie z każdym rokiem. Dziwicie się? Przecież to złotodajne poletko. A odpowiedzialność za dokonania praktycznie zerowa.

ZNÓW PRZY KSZTAŁTOWANIU (I UMACNIANIU) LEWICOWYCH POSTAW ZASTOSOWANO SOCJOTECHNIKĘ: PRZEKONANO, ŻE LEWICA RÓWNA SIĘ POSTĘP I PRZYNALEŻNOŚĆ DO EUROPY.

eprasa.pl 477b630995

Jak pokonać męczącą się władzę?

Obecną koalicję coraz bardziej męczą trudy codziennego sprawowania władzy. Jednak, aby wykorzystać tę słabość na swoją korzyść, opozycja musi zaproponować politykę **ambitniejszą** niż tylko punktowanie nieudolności obecnie rządzącej ekipy.

Marek Nowak

Zacznę od starego żydowskiego dowcipu, który brzmi dziś zaskakująco aktualnie. Przychodzi Żyd do rabina i żali się: „Rebe, otworzyłem żłobek i zakład pogrzebowy. Oba interesy splajtowały! Nic z tego nie rozumiem". Rabin, nieco zdziwiony, pyta: „A co tu jest do rozumienia?". Przygnębiony Żyd odpowiada: „Rebe, powiedz mi szczerze: jedni mówią, że ten świat umarł, ale wtedy przynajmniej zakład pogrzebowy by szedł. Inni przekonują, że żyje, ale wtedy z kolei żłobek by się opłacał. A tu ani jedno, ani drugie!". Rabin myśli chwilę i mówi: „Aj, ty nic nie rozumiesz... Świat ani nie umarł, ani nie żyje. Świat się po prostu męczy". Ten jeden z najstarszych i najbardziej uniwersalnych żydowskich dowcipów idealnie oddaje stan obecnej koalicji rządzącej. Trudno bowiem w jej działaniu odnaleźć jakiekolwiek spójne idee, choćby szczątki życia intelektualnego, ślady nawet jedynie naszkicowanej myśli modernizacyjnej, czy konkretne pomysły rozwojowe. Zamiast klarownie określonego kierunku jest jedynie coraz bardziej chaotyczny, pozbawiony wizji dryf. Brakuje politycznego życia – debaty o przyszłości, strategii, projektu dla Polski na najbliższe dekady. Jednocześnie nie sposób uznać tej ekipy za politycznego trupa. W kwestiach dla siebie najważniejszych potrafi – nawet z naruszeniem prawa lub zasad demokracji – osiągać zamierzone cele, wykazując przy tym brutalną, wręcz bezwzględną skuteczność. Co więcej,



56. posiedzenie Sejmu X kadencji; Warszawa, 30 kwietnia br.

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

eprasa.pl 477b630995

jak pokazały ostatnie, nieskuteczne próby odwołania najmniej popularnych społecznie ministrów, obecny rząd dysponuje stabilną i zdyscyplinowaną większością parlamentarną. Politycznie rząd nie umarł ani nie żyje... po prostu się męczy. Te męczarnie coraz częściej dostrzegają obywatele, jednak polityczna opozycja ciągle nie potrafi ich wykorzystać na swoją korzyść. O tym, dlaczego tak się dzieje, napiszę nieco później.

Rządzenie, czyli co?

Męczarnie koalicji widać najlepiej w badaniach opinii publicznej. Według sondażu Ogólnopolskiej Grupy Badawczej opublikowanego na początku maja aż 51,1 proc. ankietowanych negatywnie ocenia rząd Donalda Tuska, podczas gdy pozytywną ocenę wystawia mu jedynie 29,4 proc.



respondentów. Trend jest nieubłagany. W porównaniu z analogicznym badaniem z marca ocena rządu pogorszyła się jeszcze bardziej – wtedy negatywne noty wynosiły 49,03 proc., a pozytywne 31,14 proc. (przy 19,83 proc. neutralnych). W lutym negatywnie rząd oceniało już 47,2 proc. badanych. Mamy więc do czynienia ze stałą, systematyczną tendencją wzrostową, której nie da się uczciwie intelektualnie zbyć jako „chwilowego wahnięcia sondażowego". Obecny gabinet jest po prostu niepopularny, a liczba jego przeciwników rośnie z miesiąca na miesiąc. Co znamienne, średnie oceny rządu Tuska po ponad dwóch latach sprawowania władzy są zbliżone do notowań drugiej kadencji rządu PiS (lata 2019–2023 pod kierownictwem Mateusza Morawieckiego) w analogicznym momencie. Z tą różnicą, że mówimy o – de facto – szóstym roku rządów tej samej, szerszej formacji politycznej, licząc od 2015 roku. Gdyby zaś porównać ponaddwuletni okres obecnej koalicji z pierwszymi dwoma latami rządów PiS po 2015 roku, wynik dla Tuska i jego sojuszników byłby po prostu druzgoczący. To pokazuje niezwykłą szybkość zużywania się politycznego kapitału tej ekipy. Jedynym realnym spoiwem łączącym tworzących ją polityków wydaje się wspólna chęć utrzymania władzy za wszelką cenę oraz głęboka, emocjonalna niechęć do poprzedniej prawicowej ekipy. Na takim fundamencie niezwykle trudno budować sensowny, długofalowy projekt polityczny. Donald Tusk zdaje się nawet tego nie próbować. Natomiast skupia się, jak łatwo zauważyć, na rewanżystycznym projekcie kryminalizacji i delegitymizacji politycznej opozycji. Owszem, spełnia to zapotrzebowanie najtwardszego, najbardziej zmobilizowanego elektoratu napędzanego toksycznymi emocjami internetowej sekty „Silnych Razem". Dla reszty społeczeństwa – dla tych, którzy oczekują normalnego, kompetentnego rządzenia – bezcelowość i jałowość obecnych rządów staje się jednak coraz większym problemem. Zwłaszcza gdy na horyzoncie pojawiają się coraz bardziej niepokojące wskaźniki: postępujący wzrost bezrobocia, rosnące ceny energii, zapaść w ochronie zdrowia, chaos w edukacji i brak jakiejkolwiek spójnej strategii gospodarczej czy energetycznej. W końcu, czy ktokolwiek naprawdę wierzy, że obecna władza ma jakiekolwiek realne pomysły w którejkolwiek z tych dziedzin? A może jednak jedynym prawdziwym celem trwania rządu Donalda Tuska jest niedopuszczenie, „by rządziła prawica"? Jednak czy to ma być ta naczelna, najwyższa wartość, która usprawiedliwia bierność, brak wizji i chroniczną niemoc w rozwiązywaniu realnych problemów Polaków? Rządzący zdają się wierzyć, że na tym negatywnym, rewanżystycznym paliwie da się jeszcze daleko zajechać. Szczerze mówiąc – wątpię, by tak było.

WEDŁUG SONDAŻU OGÓLNOPOLSKIEJ GRUPY BADAWCZEJ OPUBLIKOWANEGO NA POCZĄTKU MAJA AŻ 51,1 PROC. ANKIETOWANYCH NEGATYWNIE OCENIA RZĄD DONALDA TUSKA.

eprasa.pl 477b630995

Jednak to, jak daleko zajechać może jeszcze obecny rząd, zależy w dużym stopniu od opozycji.

Jak wygrać wybory?

Pisałem już na łamach naszego tygodnika, że nierozerwalną częścią tego, co definiujemy jako „polityka", zawsze było słowo „obietnica". Każde społeczeństwo ma swoje aspiracje, marzenia i lęki. Polityka je nazywa, definiuje i wyraża w przestrzeni publicznej, a także wybiera z nich te, które zyskają własną reprezentację. Dopiero one nabierają politycznej sprawczości i mogą się ze sobą konfrontować. Rezultat tej konfrontacji na długie lata definiuje politykę, jednak warto pamiętać, że u samego początku tego procesu zawsze mamy do czynienia z rywalizacją podziałów. Co warto podkreślić, jeśli się nad tym zastanowimy, to polityka (prawdziwa, ta, która się odbywa w dyskursie) nie jest, jak się przyjęło powszechnie uważać, rywalizacją ludzi z dwóch stron politycznego podziału, tylko rywalizacją polityków o to, jak zdefiniować sam podział. Jednak by zrobić to skutecznie, ów podział nie może być abstrakcyjny, lecz musi się odnosić do tego, co realne, i zawierać w sobie to, co w polityce jest najważniejsze – czyli obietnice. To obietnica jest rdzeniem polityki, aktem reprezentacji składanym przez polityków grupom społecznym, których interesy, aspiracje i system wartości chcą oni chronić, rozwijać i właśnie – reprezentować. Ta partia lub koalicja, która złoży najmocniejszą, najbardziej spójną i wiarygodną obietnicę wobec największej części społeczeństwa – wygrywa. Dopóki obietnica pozostaje żywa, formacja rządząca jest niemal „teflonowa". Żadne afery, wpadki czy kryzysy nie przyklejają się do niej na stałe. W języku graczy komputerowych można powiedzieć, że przez pewien czas działa „kod na nieśmiertelność". Z czasem jednak siła obietnicy słabnie. Wiara, że dana formacja jest w stanie ją zrealizować, gaśnie. Pojawiają się pierwsze rysy, podskórne rozczarowanie, koniec teflonowości. Znaczna część elektoratu już straciła entuzjazm, ale nadal głosuje „siłą rozpędu" – z przyzwyczajenia, strachu przed alternatywą lub braku lepszej oferty. W tym momencie opozycja ma szansę. Jeśli zdoła sformułować własną, świeżą i przekonującą obietnicę, spełni się warunek konieczny zmiany władzy. Wtedy nawet drobna afera, pozornie błahe wydarzenie czy kryzys, może stać się pretekstem do masowego przerzucenia głosów. I cykl zaczyna się od nowa.

MOŻE JEDYNYM PRAWDZIWYM CELEM TRWANIA RZĄDU DONALDA TUSKA JEST NIEDOPUSZCZENIE, „BY RZĄDZIŁA PRAWICA"?

Obietnice polityki

Teza, że w Polsce „nie wygrywa się wyborów, tylko się je przegrywa" i że Polacy głosują zawsze „przeciw" komuś, a nie „za" czymś, jest wygodnym uproszczeniem, ale nie jest prawdziwa. Wszystkie wybory po 1989 roku dowodzą czegoś przeciwnego: Polacy wielokrotnie głosowali „za" konkretną wizją. Na początku była to nadzieja na wolność i demokrację – głos oddawany na ugrupowania postsolidarnościowe. Gdy brutalność balcerowiczowskiej terapii szokowej przyniosła masowe rozczarowanie, biedę i bezrobocie, społeczeństwo zwróciło się ku postkomunistycznej lewicy. Hasło SdRP „Tak dłużej być nie może. Nie obronisz się sam" zawierało czytelną obietnicę: państwo, w którym los zwykłego człowieka będzie ważniejszy od czystej wolnorynkowej ideologii. Ludzie to zrozumieli i wybrali. Wielu komentatorów do dziś dziwi ten wybór – mnie ani trochę. Później koalicja AWS – UW obiecywała modernizację państwa przy zachowaniu solidarystycznej wrażliwości. Ostatecznie wprowadzone reformy dążyły do urynkowienia każdej sfery życia, ze szkołą i służbą zdrowia na czele, zrywając z solidaryzmem społecznym nawet w tak ważnej kwestii jak emerytury. Pokomunistyczna lewica, czując ten dysonans, obiecała po prostu „przywrócić normalność". To wystarczyło do największego zwycięstwa w historii SLD. Gdy i ta formacja zniechęciła do siebie licznymi aferami oraz coraz wyraźniejszym flirtem z neoliberalizmem, Polacy zatęsknili za sanacją. Obiecywały ją dwie nowe partie: PiS i PO. Ta pierwsza postawiła ponadto na wyraźny akcent solidarystyczny i dzięki temu wbrew sondażom w 2005 roku wygrała wybory. Dwa lata później zmęczeni „sanacyjną gorączką" wyborcy postawili na obietnicę europejskiej modernizacji zawartej w haśle „irlandzkiego cudu" głoszonego przez Donalda Tuska. Po latach rządów PO – PSL, zmęczeni coraz bardziej nieznośnymi neoliberalnymi frazesami wygłaszanymi przez ówczesne elity oraz rosnącym poczuciem niesprawiedliwości społecznej, Polacy znów zatęsknili za solidaryzmem. Prawo i Sprawiedliwość zrealizowało tę obietnicę w stopniu bezpreceden-

eprasa.pl 477b630995

sowym po 1989 roku – i wygrało trzy kolejne elekcje parlamentarne (2015, 2019, 2023), choć w 2023 roku nie zdołało zbudować większości. Ostatnie wybory parlamentarne były pod tym względem inne. Obecna koalicja nie zwyciężyła dzięki jednej spójnej, porywającej obietnicy, lecz dzięki szerokiemu, powyborczemu porozumieniu ugrupowań głoszących często sprzeczne ze sobą wizje. Był w tym elektorat anty-PiS-owski, który chciał po prostu „odsunięcia Kaczyńskiego", byli liberalni modernizatorzy liczący na szybki powrót do „europejskiej ścieżki rozwoju". Byli lewicowi wyborcy oczekujący progresywnych zmian społecznych i dalszego rozwoju polityki społecznej. I byli również ludowcy, jako konserwatywna kotwica nastawiona na zabieganie o interesy rolników. Wspólnym mianownikiem nie była pozytywna wizja Polski, lecz niechęć wobec poprzedniej ekipy. Taka konstrukcja koalicji mogła zadziałać jako maszyna do przejmowania władzy, ale jest strukturalnie słaba jako projekt rządzenia. Brak wspólnej, głębokiej obietnicy wobec Polaków sprawia, że rząd Tuska od początku skazany jest na męczarnie, o których pisałem wcześniej. Obraz męki obecnej ekipy powinna sobie wziąć do serca prawica.

Pułapki anty-Tuskowej koalicji

Nie da się w pełni zrozumieć dzisiejszych odruchów i dylematów polskiej prawicy bez nakreślenia wszystkich wymiarów rzeczywistości, w której musi ona funkcjonować od jesieni 2023 roku. Realia te dalekie są od normalności demokratycznego państwa prawa. Mowa tu o instytucjonalnej presji i przemocy, którym poddawana jest opozycja. Chodzi o nielegalne (jak wskazywały liczne opinie prawne) pozbawianie środków finansowych partii przez ministra finansów Andrzeja Domańskiego, o masowe produkowanie, często absurdalnych, aktów oskarżenia przez ręcznie sterowaną przez ministra Waldemara Żurka prokuraturę. To nie jest standardowa rywalizacja polityczna. To tworzenie asymetrycznego pola gry, w którym jedna strona ma dostęp do narzędzi państwa, a druga jest systematycznie przy pomocy tych narzędzi niszczona. Do tego dochodzi jeszcze jeden wymiar – międzynarodowy. Coraz wyraźniej widać, że brukselska biurokracja i powiązane z nią środowiska nie traktują wszystkich partii w państwach członkowskich symetrycznie. Jednym (liberalno-lewicowym) życzy się zwycięstwa i aktywnie ich wspiera, drugim (prawicowym, uznawanym za „populistyczne") życzy się klęski i stosuje rozmaite metody, by do niej doprowadzić. Celem stało się trwałe wykluczenie z władzy tzw. prawicowych populistów w całej Europie. W takiej sytuacji prawica, zaganiana do narożnika, może ulec pokusie zawarcia szerokiej, negatywnej koalicji, której jedynym spoiwem będzie hasło: „odsuńmy Tuska, a potem się zobaczy". Ulegnięcie tej pokusie byłoby jednak dla prawicy podwójnie ryzykowne. Po pierwsze – mechanizm jest lustrzanym odbiciem obecnej koalicji. Tak jak dzisiejszemu rządowi coraz trudniej rządzić, proponując wyłącznie „nie jesteśmy PiS-em", tak opozycji nie będzie łatwo zdobyć i utrzymać władzę, jeśli jej jedynym programem okaże się „nie jesteśmy KO". Takie obietnice adresowane są wyłącznie do żelaznych, zmobilizowanych elektoratów. Nie odpowiadają na realne aspiracje większości Polaków ani nie budują wspólnej przestrzeni – koniecznej, jeśli Polska ma się przygotować na realne wojenne zagrożenie. Po drugie – nawet w przypadku zwycięstwa wyborczego groziłaby prawicy pułapka wewnętrznej niespójności. Co tak naprawdę łączy prorosyjskiego demagoga Grzegorza Brauna, libertarianina i wolnorynkowego fundamentalistę Sławomira Mentzena z Mateuszem Morawieckim – konsekwentnym przeciwnikiem rosyjskiego imperializmu, który jako premier prowadził politykę gospodarczo-solidarystyczną? Jaki jest wspólny mianownik poza deklarowaną niechęcią do Donalda Tuska? Brak pozytywnego, spójnego projektu sprawi, że nowa „szeroka koalicja" mogłaby szybko upodobnić się do dzisiejszego rządu – tworu chaotycznego, pozbawionego wizji i napędzanego politycznym resentymentem. Prawo i Sprawiedliwość rządziło skutecznie przez osiem lat nie dlatego, że było anty-Tuskiem, lecz dlatego, że w 2015 roku potrafiło odczytać rosnące niezadowolenie i frustracje większości społeczeństwa, a następnie przekuć je w spójną, pozytywną, prospołeczną alternatywę. Jeśli tego nie powtórzy, to nawet wygrana w wyborach nie da mu politycznego życia... nie da też śmierci – da jedynie męczarnie.

> OBECNA KOALICJA NIE ZWYCIĘŻYŁA DZIĘKI SPÓJNEJ, PORYWAJĄCEJ OBIETNICY, LECZ DZIĘKI SZEROKIEMU POROZUMIENIU UGRUPOWAŃ GŁOSZĄCYCH CZĘSTO SPRZECZNE ZE SOBĄ WIZJE.

eprasa.pl 477b630995

POD PATRONATEM „TS”



Najlepsze polskie samorządy zostały wyróżnione podczas uroczystej gali w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego w Warszawie. Nagrody przyznano za najlepsze wyniki finansowe osiągnięte w 2025 roku w ramach **Rankingu Finansowego Samorządu Terytorialnego** organizowanego przez Fundację Instytut Studiów Wschodnich oraz Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu.

Konrad Wernicki

Najlepsze samorządy nagrodzone na Zamku Królewskim

Uroczystość wręczenia nagród zgromadziła ponad 250 przedstawicieli samorządów z całej Polski. Wydarzenie odbyło się w prestiżowych wnętrzach Zamku Królewskiego w Warszawie i było okazją do podsumowania wyników finansowych jednostek samorządu terytorialnego za 2025 rok.

List do uczestników skierował prezydent RP Karol Nawrocki. W swoim przesłaniu podkreślił znaczenie odpowiedzialności i służby publicznej w pracy samorządowców.

„Mandat zaufania powierzony przez współmieszkańców jest przecież nie tylko źródłem satysfakcji, lecz także – a może przede wszystkim – zobowiązaniem do służby. Dzisiaj zebrali się ci, którzy ten czas wykorzystali najlepiej, z korzyścią dla swoich miejscowości i społeczności” – napisał prezydent.

Galę otworzył Paweł Gancarz, marszałek województwa dolnośląskiego. W swoim wystąpieniu podkreślił, że Ranking Finansowy Samorządu Terytorialnego jest jednym z najbardziej wiarygodnych

eprasa.pl 477b630995



Fot. Fundacja Instytut Studiów Wschodnich

zestawień oceniających kondycję polskich gmin i powiatów.

Jak zaznaczył, doświadczenie zdobyte podczas pełnienia funkcji wójta Stoszowic pozwoliło mu przekonać się, że ciężka praca lokalnych władz znajduje odzwierciedlenie w wynikach rankingu.

– Ten wysiłek był tytaniczny, szczególnie w 2023 roku, i został odzwierciedlony w tym rankingu – powiedział Paweł Gancarz.

Laureaci Rankingu Finansowego Samorządu Terytorialnego 2025

W tegorocznej edycji rankingu wyróżniono najlepsze samorządy w kilku kategoriach. Laureaci odebrali statuetki oraz gratulacje za skuteczne zarządzanie finansami publicznymi.

- **Gminy wiejskie**: gmina Zabór (woj. lubuskie) – nagrodę odebrał wójt Robert Sidoruk.
- **Gminy miejsko-wiejskie**: Choroszcz – nagrodę odebrał burmistrz Robert Wardziński.
- **Gminy miejskie**: Józefów – statuetkę odebrał burmistrz Marek Banaszek.
- **Powiaty ziemskie**: powiat leszczyński – nagrodę odebrał starosta Maciej Wiśniewski.
- **Miasta na prawach powiatu**: Bydgoszcz – statuetkę odebrał skarbnik miasta Piotr Tomaszewski.

Wyróżnienia „Wschodzące Gwiazdy" dla dynamicznych samorządów

Dodatkowe wyróżnienia przyznał Ruch Samorządowy TAK! dla Polski. Nagrody „Wschodzące Gwiazdy" trafiły do samorządów, które w ciągu ostatnich 12 miesięcy zanotowały największy postęp finansowy w swoich województwach.

Za osiągnięcia samorządowców dziękowała Elżbieta Polak, członkini zarządu Ruchu Samorządowego TAK! dla Polski. Dyplomy wręczała Dorota Zmarzlak, sekretarz generalna organizacji.

Podczas gali głos zabrał również Arkadiusz Babczuk, zastępca głównego rzecznika dyscypliny finansów publicznych. Zwrócił uwagę na rosnącą jakość zarządzania finansami przez samorządy oraz skuteczność lokalnych władz w realizacji inwestycji.

Ranking Finansowy Samorządu Terytorialnego jest jednym z **najbardziej wiarygodnych** zestawień oceniających kondycję polskich gmin i powiatów.

– Nagrody w tym rankingu to wyraz szacunku dla samorządów i samorządowców. Wasza codzienna praca wyróżnia się tym, że jesteście coraz lepsi – powiedział Arkadiusz Babczuk.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**



eprasa.pl 477b630995

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO

A Waszyngton w Norymberdze



Sławomir Jastrzębowski

Ale że niby co? Że coś nie tak z tym tytułem? Że Waszyngton nie leży w Norymberdze, jak w Norymberdze? A skąd u Państwa taka myśl, że nie? Czy na przykład ustalili Państwo sobie hierarchię źródeł prawdy? Zapewne wiedzą Państwo, że argumentum ad verecundiam zazwyczaj kończący dyskusję odnosi się do szacunku, skromności, w zasadzie do autorytetu. Powołanie się na taki argument peszy dyskutanta, betonując usta ciszą. Zapewne zgodzimy się, że członek Rady Programowej Telewizji Polskiej, która nie umie się zlikwidować, jest autorytetem? Ja się prywatnie nie zgadzam, ponieważ wiele osobo-gamoniów w życiu widziałem, ale nie chodzi tu o moją nic nieznaczącą opinię. Krzysztof Król, postać znana, został zgłoszony do Rady Programowej TVP przez Koalicję Obywatelską, ponieważ posiada życiorys. W życiorysie występował między innymi teść Leszek Moczulski, który ułatwił mu karierę w opozycji antykomunistycznej nie przez to, że był Tajnym Współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa ps. „Lech", tylko że zwalczał komunizm, jak mógł, a raczej nie mógł, czy też mu nie wychodziło. Król był nawet posłem Konfederacji Polski Niepodległej, a potem zadał się z Adamem Michnikiem. Jak sami Państwo widzą, ma życiorys, doświadczenie i wiedzę. Bo w Radzie Programowej TVP trzeba mieć wiedzę. Członkowie takiej Rady dostają pieniądze, ale ich obowiązki są poważne, regulowane przez Ustawę o radiofonii i telewizji. Nie chcę tu nikogo zamęczać zapisami, ale warto wiedzieć, że: „Rada programowa podejmuje uchwały zawierające oceny poziomu i jakości programu bieżącego oraz programów ramowych".

I tu wreszcie dochodzimy do Norymbergi. Otóż Krzysztof Król jako członek Rady Programowej TVP oceniającej programy sam wystąpił w programie Doroty Schnepf (której na razie nie można nazywać arcykapłanką propagandy) jako twórca i tworzywo. Program nazywał się „Zderzenia" i rzeczywiście Król zderzył się z własnym intelektem. Pozwolą Państwo, że zacytuję fragment jego buńczucznej wypowiedzi dotyczącej Putina: „Putina należy pokonać, zamknąć i osądzić tak, jak Hitlera w Norymberdze". Hmm... Ciekawe, jak Król oceni program, w którym Król bredził jak Piekarski na mękach. Hitler popełnił samobójstwo w bunkrze w Berlinie 30 kwietnia 1945 roku i na pewno nie zasiadł na ławie oskarżonych w Norymberdze. To wiedza z gatunku niehermetycznej, niespecjalistycznej. Trudno słowa o Putinie, Hitlerze i Norymberdze nazwać przejęzyczeniem. Król będzie się więc musiał w ramach działalności rady zająć Królem i zrugać nieuka bezlitośnie. Żartowałem. Król został wybrany przez Koalicję Obywatelską, czyli ugrupowanie mające w swoim DNA mijanie się z prawdą w różnych celach, zazwyczaj merkantylnych... Nic mu się nie stanie. Jest nieprawdą chroniony.

> KRZYSZTOF KRÓL: „PUTINA NALEŻY POKONAĆ, ZAMKNĄĆ I OSĄDZIĆ TAK, JAK HITLERA W NORYMBERDZE". HMM...

No dobrze, dobrze, ale co z tym Waszyngtonem? Ale z którym Waszyngtonem? Z miastem czy stanem? Jak mawiał autorytet z „Gazety Wyborczej", donoszący na własnych przyjaciół, Lesław Maleszka: „No, to jest bardzo dobre pytanie". Spróbujmy więc na nie odpowiedzieć razem z ministrem sprawiedliwości Waldemarem Żurkiem, a potem już raczej bez niego, żeby zachować nieco powagi. Waldemar Żurek został zaproszony na wywiad do Polsatu, a tam zadawano mu pytania doty-

eprasa.pl 477b630995

czące przylotu Zbigniewa Ziobry z Węgier do Stanów Zjednoczonych. Sprawa Ziobry poszukiwanego listem gończym, ale tylko w Polsce, jest dla Donalda Tuska i Waldemara Żurka priorytetowa i ambicjonalna. Nieposiadający sukcesów w rządzeniu Tusk (czarna dziura, w którą zmienia się nasz budżet, powolna likwidacja państwowej służby zdrowia i wzrost, ale bezrobocia, za sukcesy nie zostały uznane nawet przez Adama Szłapkę) pochwycenie byłego ministra sprawiedliwości i wsadzenie do aresztu mógłby uczcić fanfarami i przez chwilę zadowolić swój pielęgnujący nienawiść elektorat. Tymczasem Zbigniew Ziobro zdaje się bawić w kotka i myszkę z niespecjalnie sprytnymi przeciwnikami. Poleciał z Węgier do Stanów, o czym Żurek z całym rządem dowiedzieli się z telewizji Republika, mimo że zaangażowali w akcję polskie służby. Poleciał legalnie, nieścigany przez nikogo, bo na terenie Europy, w strefie Schengen ścigany nie był i nie jest. Nie ma w jego sprawie Europejskiego Nakazu Aresztowania i nie wiadomo, czy w ogóle będzie, ale...

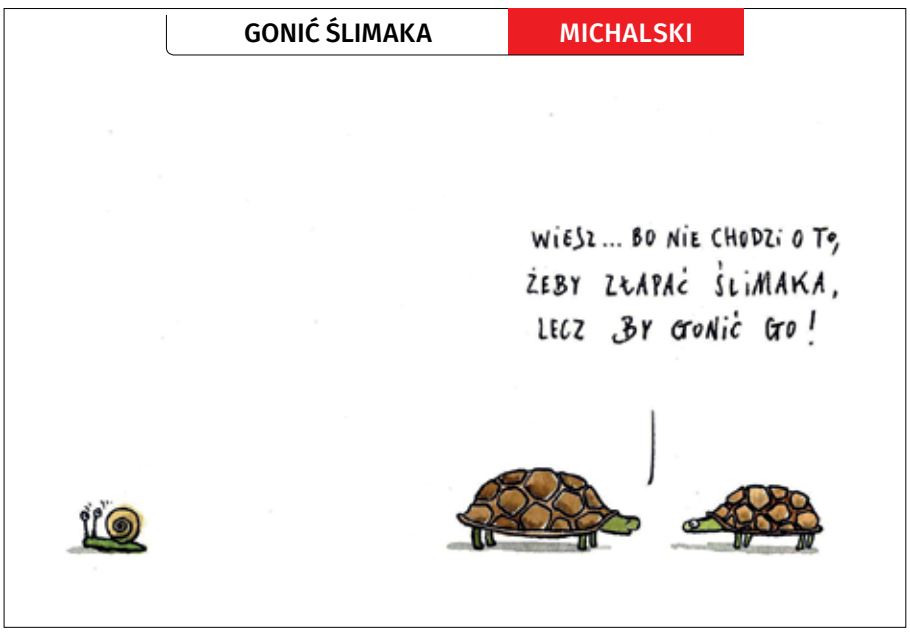
Wracamy do nieszczęsnego dla ministra wywiadu w Polsacie. Pytany przez redaktora Marcina Fijołka: „Ziobro miał być w stanie Waszyngton, czy to jest prawda?”, Żurek odpowiedział: „Mieliśmy takie informacje, że jest w stanie Waszyngton, tak”. Redaktor: „Ale w stanie Waszyngton, czy mieście Waszyngton, bo to są dwa różne miejsca na mapie”. Żurek: „Ja miałem informacje, że w stanie, sprawdzamy te informacje. Mówimy o tym Waszyngtonie, który jest najbardziej znany”. Redaktor: „Najbardziej znane to jest miasto. Czy jednak stan?”. Żurek: „Nie chcę ujawniać, wczoraj mieliśmy naradę z ministrem Siemoniakiem”.

Ej, dobra, to może my ujawnijmy, a pan Żurek niech czyta i może zapamiętuje czy coś. Miasto Waszyngton nie leży w stanie Waszyngton. Miasto Waszyngton, stolica Stanów Zjednoczonych, to wschód USA, a stan Waszyngton to północny zachód USA. Dzieli je 4 tysiące kilometrów. Stolica nie leży w żadnym stanie, bo to dystrykt, a stolicą stanu Waszyngton jest Olimpia. Dobra, wystarczy tego znęcania się nad nieukami...

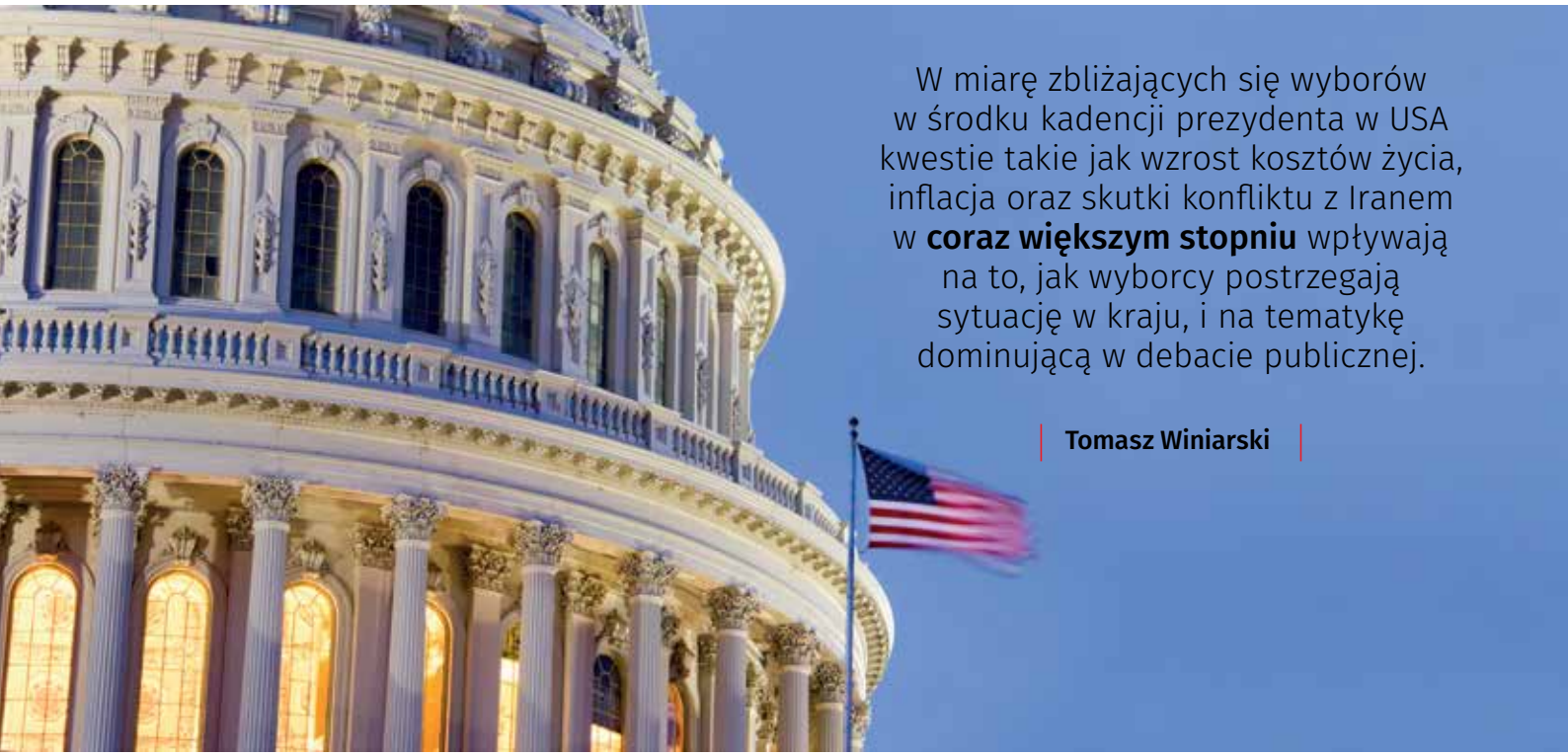
Kończąc i szukając łącznika spraw Krzysztofa Króla i Waldemara Żurka. Ktoś mógłby powiedzieć nazbyt szybko i prosto, że przecież głupota jest tu łącznikiem, że brak elementarnego wykształcenia spoiwem. Może. Że ten tytuł bezmyślny „A Waszyngton w Norymberdze”, jakby nabiera w kontekście powyższego rozumowania myśli. Cóż, uważam osobiście, że działania tych panów i postawienie na nich z całym ich aparatem umysłowym, to nie przypadek, to świadomy wybór Tuska. Pokazywanie takich ludzi (tu powstrzymałem potok niechwalebnych przymiotników) jako niby naszych elit to wybór Tuska. Wybór przemyślanej destrukcji. S

NIEPOSIADAJĄCY SUKCESÓW W RZĄDZENIU DONALD TUSK POCHWYCENIE ZBIGNIEWA ZIOBRY MÓGŁBY UCZCIĆ FANFARAMI I PRZEZ CHWILĘ ZADOWOLIĆ SWÓJ PIELĘGNUJĄCY NIENAWIŚĆ ELEKTORAT.

GONIĆ ŚLIMAKA MICHALSKI



eprasa.pl 477b630995



W miarę zbliżających się wyborów w środku kadencji prezydenta w USA kwestie takie jak wzrost kosztów życia, inflacja oraz skutki konfliktu z Iranem w **coraz większym stopniu** wpływają na to, jak wyborcy postrzegają sytuację w kraju, i na tematykę dominującą w debacie publicznej.

Tomasz Winiarski

Gospodarka, głupcze!

Maksyma Clintona zdefiniuje wybory do Kongresu

W amerykańskiej klasie politycznej narasta napięcie związane ze zbliżającymi się listopadowymi wyborami w środku kadencji prezydenta, o których w amerykańskiej stolicy głośniej robi się z dnia na dzień. Mimo że administracja Donalda Trumpa konsekwentnie stara się budować obraz swojej polityki jako pasma wewnętrznych i zewnętrznych sukcesów, coraz trudniej utrzymać tę narrację w zderzeniu z doświadczeniami zwykłych ludzi.

To właśnie gospodarka, a zwłaszcza rosnące koszty życia, staje się punktem odniesienia dla nastrojów społecznych. Wzrost cen paliw i podstawowych produktów jest szczególnie odczuwalny – nie na poziomie rządowych analiz i raportów, lecz na stacjach benzynowych, w sklepach – słowem wszędzie, gdzie lektura wydawanego przez sprzedawcę rachunku coraz częściej wywołuje uczucie frustracji.

Na tym tle konflikt Ameryki z Iranem zaczął nabierać zupełnie innego znaczenia. Eskalacja napięć i ich konsekwencje w globalnym handlu i cenach energii sprawiły, że skutki tej wojny szybko przestały być abstrakcyjne dla zwyczajnych Amerykanów. Stały się bezpośrednio odczuwalne w ich gospodarstwach domowych, przekładając się na wyższe rachunki i rosnące ceny.

W efekcie kwestia amerykańskiej polityki zagranicznej została wciągnięta w centrum tamtejszej debaty wewnętrznej. Dla ekipy obecnie rządzącej Ameryką oznacza to narastające wyzwanie – utrzymanie władzy w warunkach, w których globalne napięcia coraz silniej determinują krajową rzeczywistość gospodarczą.

Paraliż cieśniny Ormuz

Republikański kongresmen Jason Smith z Missouri wskazuje, że kluczowym wyzwaniem przed wyborami w środku kadencji prezydenta (ang. midterm elections) jest kwestia kosztów życia, na którą negatywny wpływ ma konflikt z Iranem. Zdaniem polityka priorytetem jest opanowanie cen żywności, nawozów

eprasa.pl 477b630995

i paliw, które drastycznie wzrosły w ostatnim czasie.

– Obniżenie cen paliwa jest niezwykle ważne. Powtarzam wszystkim, że chodzi o obniżkę cen żywności, nawozów rolniczych i paliwa. To są trzy rzeczy, które musimy opanować – powiedział w pierwszej połowie maja na antenie stacji Newsmax Jason Smith.

Dodał, że nikt nie może podważyć faktu, iż główną przyczyną wzrostu cen jest konflikt z Iranem.

– Musimy jak najszybciej zakończyć ten konflikt, ruszyć dalej i jednocześnie zająć się problemem kosztów życia – potrafiąc robić kilka rzeczy naraz — stwierdził polityk.

To zdanie podzielił jego przełożony w Kongresie, spiker Izby Reprezentantów Mike Johnson z Luizjany, który w programie emitowanym w telewizji Fox News stwierdził, że trwające „problemy gospodarcze" Amerykanów są „bezpośrednio związane z cieśniną Ormuz".

– Naprawdę wszystko sprowadza się właśnie do tego. Ceny paliw są z tego powodu zbyt wysokie, a to z kolei wpływa na koszty transportu towarów do sklepów spożywczych i całej reszty – powiedział.

Średnia cena benzyny w USA wzrosła w trakcie kryzysu wokół cieśniny Ormuz od końca lutego z poziomu około 2,98 dolarów za galon do około 4,50 dolarów w połowie maja, co oznacza realny skok o około półtora dolara za galon, czyli mniej więcej o 50 procent.

Ceny nawozów azotowych wzrosły szczególnie mocno. Cena amoniaku bezwodnego podniosła się z około 828 dolarów za tonę przed konfliktem w Zatoce Perskiej do 1123 dolarów za tonę w kwietniu 2026 roku, co oznacza wzrost o około 36 procent. Z kolei roztwory azotowe podrożały z 436 do 543 dolarów za tonę, czyli o około 25 procent. Według analiz rynku nawozowego oraz danych branżowych część nawozów opartych na moczniku podrożała od końca lutego nawet o 25–40 procent w związku z zaburzeniami eksportu z regionu Zatoki Perskiej.

Pomimo tych wszystkich trudności w pewnych kręgach amerykańskiej prawicy wciąż można dostrzec ostrożnie pozytywne nastroje i przekonanie, że sytuacja nie jest całkowicie niekorzystna.

– Wybory w 2026 roku sprowadzą się do jednego prostego pytania: kto potrafi być bardziej sprawczy dla Amerykanów? Administracja prezydenta Donalda Trumpa już teraz całkowicie przyćmiła nieudane lata prezydentury Joe Bidena, zabezpieczając granicę, obniżając podatki, ograniczając marnotrawstwo w administracji publicznej oraz przywracając porządek i bezpieczeństwo – powiedział Joseph Wood, prezes Partii Republikańskiej w stanie Arkansas.

PARTIA DEMOKRATYCZNA ZACZĘŁA BYĆ POSTRZEGANA PRZEZ CZĘŚĆ WYBORCÓW JAKO UGRUPOWANIE, KTÓRE MOŻE SKUTECZNIEJ ODPOWIEDZIEĆ NA WYZWANIA ZWIĄZANE Z INFLACJĄ I WSPARCIEM KLASY ŚREDNIEJ W OBECNEJ SYTUACJI.

Portfele na pierwszej linii frontu

Ceny artykułów spożywczych w Stanach Zjednoczonych wzrosły w kwietniu w najszybszym tempie od prawie czterech lat, co znacząco obciąża budżety Amerykanów.

W kwietniu odnotowano wzrost wydatków na żywność, co znalazło odzwierciedlenie w danych rządowej agencji Bureau of Labor Statistics – wskaźnik cen żywności spożywanej w przeciętnym gospodarstwie domowym w USA wzrósł o 0,7 procent po wcześniejszym spadku o 0,2 procent w marcu, a w ujęciu rocznym ceny były wyższe aż o 2,9 procent!

Szczególnie wyraźne podwyżki dotyczyły kategorii obejmującej mięso, drób, ryby i jaja, w przypadku których ceny zwiększyły się w skali miesiąca o 1,3 procent, w tym na przykład cena wołowiny wzrosła o 2,7 procent. Drożej kosztują także inne grupy produktów – owoce i warzywa, które podrożały o 1,8 procent, a ceny napojów bezalkoholowych wzrosły o 1,1 procent.

– Wszystko jest drogie. Nie da się dziś wejść do sklepu spożywczego i nie wydać 80 dolarów – narzekał 21-letni Miguel Martinez ze stanu Georgia, cytowany przez magazyn „The Economist".

Faith Parum, ekonomistka organizacji American Farm Bureau Federation, w podsumowaniu badania przeprowadzonego w kwietniu wśród ponad 5700 amerykańskich rolników napisała, że rosnące koszty środków produkcji związane z konfliktem na Bliskim Wschodzie „nakładają dodatkową presję na i tak

eprasa.pl 477b630995

już trudną sytuację gospodarczą w rolnictwie".

„Problemy z dostępnością cenową nawozów są najbardziej dotkliwe na południu i północnym wschodzie kraju, jednak pozostają istotnym problemem dla rolników we wszystkich regionach. Około 70 procent respondentów deklaruje, że nie stać ich na zakup całej ilości nawozów, której potrzebują" – tłumaczyła Parum.

Sekretarz rolnictwa USA w administracji Donalda Trumpa Brooke Rollins zapewnia o wsparciu Białego Domu dla rolników zmagających się z rosnącymi kosztami nawozów.

– Obecny prezydent pozostaje zdeterminowany i w pełni przekonany, że musimy zrobić wszystko, co możliwe, aby taka sytuacja z cenami nawozów już się nie powtórzyła – oświadczyła Rollins.

Przeprowadzony na przełomie kwietnia i maja sondaż telewizji CNN wskazuje na rekordowo niskie poparcie dla polityki gospodarczej Donalda Trumpa. Aż 77 procent ankietowanych Amerykanów uważa, że jego działania przyczyniły się do wzrostu kosztów życia, a zaledwie 30 procent pozytywnie ocenia jego wpływ na gospodarkę. Spadek zaufania dotyczy nawet części wyborców republikańskich.

Uśrednione ogólnokrajowe wyniki badań społecznych, publikowane przez portal RealClearPolitics.com, wskazują, że w listopadowych wyborach 48,8 procent wyborców deklaruje poparcie dla Partii Demokratycznej, podczas gdy na Partię Republikańską głos zamierza oddać 41,6 procent respondentów.

Niezależni zdecydują

W rezultacie to Partia Demokratyczna zaczęła być postrzegana przez część wyborców jako ugrupowanie, które może skuteczniej odpowiedzieć na wyzwania związane z inflacją i wsparciem klasy średniej w obecnej sytuacji.

Jednocześnie niektórzy Demokraci starają się tonować nastroje i unikać nadmiernego optymizmu, mając świadomość, że sytuacja polityczna pozostaje zmienna.

> AŻ 60 PROC. NIEZALEŻNYCH WYBORCÓW UZNAJE GOSPODARKĘ ZA NAJWAŻNIEJSZĄ KWESTIĘ W LISTOPADOWYCH WYBORACH.

Gregorio Casar, lewicowy kongresmen z Teksasu, na łamach dziennika „The New York Times" wskazywał, że w trakcie kampanii wyborczej jego partia nie powinna skupiać się wyłącznie na atakach na Donalda Trumpa i obiecywaniu odwrócenia jego reform.

– To jest ważne, ale musimy być czymś więcej niż tylko antytrumpistami – określił.

– Naszym celem jest jednak pokazanie wyborcom, że oprócz naszych dotychczasowych sztandarowych postulatów mamy także nowe pomysły na rozwiązanie kryzysu kosztów życia. Nie możemy prowadzić kampanii, powtarzając w kółko zwrot „niskie koszty życia" – dodał.

Choć gospodarka wciąż pozostaje najważniejszym tematem dla większości wyborców, wielu Amerykanów wskazuje jednocześnie, że w kontekście nadchodzącej walki o kontrolę nad Wzgórzem Kapitolińskim równie istotne są inne obszary życia publicznego.

Z przywołanego wyżej sondażu CNN wynika, że największą wrażliwość na kwestie ekonomiczne wykazują grupy elektoratu uznawane przez autorów badania za najbardziej podatne na zmianę preferencji politycznych. Aż 60 proc. niezależnych wyborców uznaje gospodarkę za najważniejszą kwestię w listopadowych wyborach – przed wszelkimi innymi tematami. Podobnie jest w przypadku 52 proc. respondentów, którzy deklarują niewielkie zainteresowanie bieżącą polityką.

Pozostają oni wierni maksymie kampanii prezydenckiej Billa Clintona z 1992 roku: „Gospodarka, głupcze!". Już wtedy Clinton podkreślał, że to gospodarka, a w ślad za nią zasobność amerykańskich portfeli są najważniejsze dla wyniku wyborów i dynamiki polityki wewnętrznej za oceanem.

Jednocześnie badanie jak w soczewce pokazuje zróżnicowanie postaw – osoby silniej utożsamiające się z partiami politycznymi oraz te, które na co dzień bardziej śledzą życie publiczne, częściej przypisują większą wagę innym kwestiom, wykraczającym poza samą sytuację gospodarczą.

Coraz wyraźniej widać więc, że o wyniku listopadowych wyborów w Ameryce zdecydują przede wszystkim ci, którzy wciąż pozostają niezdecydowani, będąc jednocześnie najbardziej wrażliwi na bieżące wahania sytuacji gospodarczej. W tym kontekście każda zmiana cen, każdy nowy rządowy bądź pozarządowy raport i każda polityczna deklaracja mogą przechylić szalę poparcia na rzecz danego kandydata i całej partii. Pamiętajmy jednocześnie, że ostatecznie przy urnie wyborczej przeciętny człowiek głosuje nastrojem i własnym doraźnym interesem, a nie tabelkami i statystykami. To te czynniki w największym stopniu zadecydują o wyniku wyborów kongresowych na początku listopada. A więc... Gospodarka, głupcze!

eprasa.pl 477b630995

KARUZELA BLOGERAMI

SEAMAN

GRY MECENASA

Na moje oko Mecenas wpisuje się w model łotra opisany przez śp. Tadeusza Konwickiego, który o swojej postawie w okresie stalinizmu pisał po latach: „Byłem łotrem, ale chyba nie na tyle okazałym, żeby teraz pchać się do pierwszych szeregów". Tyle Konwicki w zwięzłym podsumowaniu swojej komunistycznej fascynacji. Natomiast Mecenas był okazałym krzyżowcem w służbie ultrakatolickiego nacjonalizmu, nie wspominając już o koalicji z PiS, która wtedy tak wzburzyła „Gazetę Wyborczą" oraz inne środowiska miłujące postęp ludzkości. Teraz, w dobie tuskizmu, Mecenas wypina pierś w pierwszym szeregu łotrów demokracji walczącej. Chodzi oczywiście o zastępy wojaków antypisu, o tych wszystkich mocnych razem, a niezbornych z osobna, o przyjaciół Skarbu Państwa oraz innych adeptów praworządności, jak ją Donald Tusk rozumie.

Już dawno, kilkanaście lat temu, złożył antypisowskie śluby w czerskiej świątyni Antypisa. Albowiem wielkie były grzechy Mecenasa. Zatem wyznał sprośne błędy przeciwko jedynie słusznej demokracji liberalnej, jak choćby nazwanie Ojca Redaktora byłym partyjnym aparatczykiem, i generalnie oczyścił duszę ze złogów homofobii, antysemityzmu, nacjonalizmu, a nawet neonazizmu. No, niby dużo, ale według jego nowych mentorów jakby mało. Nie wystarczyło wyrzec się nauk Ojców Wszechpolaków ani rozstać się z Ojcem Dyrektorem. Przewiny bowiem były na tyle pokaźne, że za pokutę nie policzono mu deklaracji, lecz zażądano czynu, czyli spalenia mostów. Ten czyn właśnie zrodził Strażnika Praworządności w rozumieniu premiera Tuska.

Rzecz jasna narzuca się pytanie, jak doszło do zbliżenia postaw tak odmiennych osobowości: dawnego rycerza chrześcijańskiego przedmurza Europy i byłej liberalnej ciamciaramci? Wyjaśnienie jest banalne – Mecenas, jak sam kiedyś wyznał, bezwiednie dał się wciągnąć w orbitę Ojca Dyrektora i jakby mimochodem ugrzązł w pisowskiej atmosferze. Taki z niego łatwowierny filut był za młodu. Ten feblik chyba ciągle mu towarzyszy, bo później popadł w fascynację liberalizmem spod znaku Strażnika z Sopotu. Wygląda, że dość łatwo go poderwać, nęcąc mirażem władzy lub choćby popularności.



Fot. Adobe Stock

Czy Mecenas buduje polityczną pozycję w ten sposób, że podbiera najtwardszy elektorat KO i Konfederacji? No bo przecież nie PiS-owi? Może ma również i taki cel, ale wydaje się, że to kwestia poboczna. Cel główny, a może raczej szajba wiodąca, został już dawno sformułowany przez wieszcza: „Zemsta, zemsta, zemsta na wroga, z Bogiem – i choćby mimo Boga!". Nie można bowiem niestworzonych bredni wygadywać, mając poważne ambicje w polityce.

Swoimi wypowiedziami w trakcie i po kampanii prezydenckiej największą frajdę sprawił stand-uperom, którzy czerpali z niego pełnymi garściami. Podobno wciąż liczy głosy oddane w przegranych wyborach, choć ostatnio zaniedbał się w rachunkach, sfrustrowany zdradą Amerykanów. Pewnie dlatego postanowił się sprawdzić w geopolityce, a deklarowanym celem jest Supermocarstwo Europa. Czy zazdrosny o tę rolę premier Tusk da mu szansę? S

eprasa.pl 477b630995

KULTURA

Czytaj też:
Poznajmy się jeszcze raz 56
Pan autorytet patrzy na robotnika 58

Nie chcę być ARTYSTKĄ POD ALGORYTMY

– Wolę zagrać kilka koncertów rocznie dla ludzi, którzy naprawdę czują tę muzykę, niż śpiewać coś, czego sama nie czuję, tylko po to, żeby przypodobać się masowej publiczności – mówi **Joanna Chaba**, wokalistka, autorka tekstów, kompozytorka i trenerka wokalna, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Joanna Chaba

Wokalistka i autorka tekstów, kompozytorka, producentka muzyczna. Twórczyni oraz dyrektorka artystyczna Wok-Artysta Studio. Absolwentka Autorskiej Szkoły Muzyki Rozrywkowej i Jazzu II st. im. Krzysztofa Komedy na wydziale piosenki estradowej, Państwowej Szkoły Muzycznej I i II st. im. Fryderyka Chopina w Sochaczewie na wydziale instrumentalnym oraz Uniwersytetu Warszawskiego w Instytucie Kultury Polskiej.

Laureatka Nagrody Specjalnej na Ogólnopolskim Konkursie Piosenki Jeremiego Przybory „Stacja Kutno" od rodziny Jeremiego Przybory, I Nagrody na Ogólnopolskim Konkursie Wokalnym „Piosenka jest dobra na wszystko" oraz I Nagrody na Mazowieckim Konkursie Kabaretowym SDK w Warszawie.

Fot. z archiwum Joanny Chaby

eprasa.pl

„The Power” – **o kobietach i dla kobiet** – najnowszy singiel Joanny Chaby to muzyczny manifest kobiecej mocy, autentyczności i odwagi. Piosenkę otwiera poruszający monolog: „Pamiętaj, jesteś ważna, jesteś wyjątkowa, jesteś wystarczająca – taka, jaka jesteś. Zawsze bądź przy sobie. Wszystko, czego potrzebujesz, już w Tobie jest. Masz moc”.

– Co daje Ci moc?

– Moje nastawienie do życia. Moje myśli, ale też emocje i to, co noszę w sobie. Zawsze staram się patrzeć na świat pozytywnie. Towarzyszą mi pogoda ducha i wewnętrzne poczucie harmonii. Dla mnie człowiek to nie tylko głowa i myśli, ale też serce, emocje, intuicja. I właśnie to daje mi siłę.

– A w jakim rytmie bije Twoje serce?

– Soulowym [śmiech].

– Soul to jednak w Polsce dość niszowy gatunek. Nie boisz się, że świadomie skazujesz się na bycie poza głównym nurtem?

– Mam tego pełną świadomość. Wiem, że moja muzyka nie należy do mainstreamu, i nie mam pewności, jak zostanie odebrana. W dzisiejszych czasach ogromną rolę odgrywają algorytmy, trendy i rynek, ale dla mnie najważniejsze jest to, żeby być w zgodzie ze sobą. Wolę zagrać kilka koncertów rocznie dla ludzi, którzy naprawdę czują tę muzykę, niż śpiewać coś, czego sama nie czuję, tylko po to, żeby przypodobać się masowej publiczności. Soul jest we mnie od lat. To muzyka, która gra mi w sercu i daje mi poczucie autentyczności.

MACIERZYŃSTWO NAUCZYŁO MNIE SIŁY, KTÓREJ WCZEŚNIEJ W SOBIE NIE ZNAŁAM.

– Czyli nie próbujesz podporządkowywać swojej twórczości oczekiwaniom rynku?

– Nie. Świadomie budowałam swoje życie zawodowe tak, żeby mieć wolność twórczą. Dlatego równolegle rozwijałam działalność edukacyjną i stworzyłam własne studio wokalne. Dzięki temu muzyka nie musi być dla mnie wyłącznie źródłem utrzymania i mogę pozwolić sobie na artystyczną niezależność.

– Czym dziś jest dla Ciebie VokArtysta Studio?

– To ogromna część mojego życia. Działamy w Warszawie już od piętnastu lat. Zaczynałam od kilku uczniów, dziś mamy ich blisko stu. Pracujemy z dziećmi, młodzieżą i dorosłymi. Nasze główne siedziby mieszczą się w Terminalu Kultury Gocław oraz w Ośrodku Kultury „Arsus” w Ursusie. Dla mnie to nie jest tylko szkoła śpiewu. Oczywiście uczymy techniki wokalnej, emisji głosu czy interpretacji, ale równie ważny jest dla mnie „głos wewnętrzny”. To, jak człowiek myśli o sobie, jak buduje poczucie własnej wartości, jak radzi sobie ze stresem i emocjami. Po latach pracy widzę bardzo wyraźnie, że nawet najlepsza technika nie wystarczy, jeśli człowiek jest wewnętrznie zablokowany. Można godzinami ćwiczyć przy pianinie, ale jeśli stres przejmuje kontrolę nad ciałem, to wszystko nagle przestaje działać.

– Każdy może zostać uczniem Twojego studia?

– Są przesłuchania i podstawowe kryteria, tak jak w szkołach muzycznych. Potrzebne są poczucie rytmu, słuch muzyczny czy pamięć muzyczna. Pracujemy z dziećmi od 6. roku życia, ale mamy też wielu dorosłych uczniów. Najważniejsze są jednak chęci i otwartość na rozwój.

– Twój najnowszy singiel „The Power” jest określany jako kobiecy manifest. Co chciałaś nim przekazać?

– Żeby kobiety pamiętały, że mają w sobie moc. Bez względu na wszystko. Ten utwór powstał między innymi z obserwacji kobiet, które trafiają do mnie na zajęcia wokalne. Przez lata pracowałam głównie z kobiecymi głosami – nie tylko w VokArtysta Studio, ale też wcześniej w Autorskiej Szkole Muzyki Rozrywkowej i Jazzu im. Krzysztofa Komedy w Warszawie. Bardzo często obserwowałam to, jak wiele kobiet jest wewnętrznie zablokowanych. Jak boją się mówić głośno o swoich emocjach, potrzebach czy granicach. To wychodzi podczas pracy z głosem, bo głos zewnętrzny jest tak naprawdę przedłużeniem naszego głosu wewnętrznego.

– Czyli ta piosenka wynika bardziej z doświadczeń niż ideologii?

– Zdecydowanie. To nie jest manifest napisany „pod trend” czy pod bieżącą modę społeczną. To efekt doświadczeń, obserwacji i emocji. Bardzo poruszyły mnie też historie kobiet walczących o swoje prawa. Między innymi informacja o kobiecie zamordowanej na Bliskim Wschodzie za działalność na rzecz kobiet. Pamiętam też historię ciemnoskórej Polki, która mimo doświadczenia przemocy wróciła do Polski, bo czuła, że to jej miejsce. Zaczęłam się wtedy zastanawiać, co mogę zrobić jako artystka. I doszłam do wniosku, że mogę napisać piosenkę, która doda komuś odwagi albo siły.

– W rozmowie pojawia się też temat patriarchatu i zmian

eprasa.pl 477b630995

społecznych. Masz poczucie, że sytuacja kobiet w Polsce rzeczywiście się zmienia?

– Tak, zdecydowanie się zmienia. Sama kończyłam Instytut Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego i pisałam pracę dotyczącą kobiet oraz małych społeczności. Przeprowadziłam wiele rozmów i badań. Widziałam wtedy bardzo wyraźnie, jak silne bywają kulturowe wzorce patriarchalne, szczególnie poza dużymi miastami. Oczywiście dziś sytuacja wygląda inaczej niż dziesięć lat temu i bardzo się z tego cieszę. Ale nadal mam poczucie, że warto o tym mówić głośno. Jednocześnie jestem zwolenniczką równowagi. Nie chodzi o to, żeby kobiety „przejęły władzę", tylko żeby relacje między kobietą a mężczyzną były partnerskie.

– Jesteś samodzielną mamą. Czy macierzyństwo wpłynęło na Twoją działalność zawodową i artystyczną?

– Ogromnie. Jestem mamą dziesięcioletniego syna i to doświadczenie bardzo mnie ukształtowało. Były momenty, kiedy jednocześnie prowadziłam firmę, tworzyłam muzykę, walczyłam z problemami zdrowotnymi i wychowywałam dziecko. W takich sytuacjach człowiek naprawdę musi odkrywać w sobie siłę i motywację. Myślę, że właśnie dlatego piszę o mocy, odwadze i autentyczności – bo sama musiałam tego wszystkiego w sobie szukać.

– Czy doświadczenie macierzyństwa pomaga Ci też w pracy z młodymi ludźmi?

– Bardzo. W naszym studiu jest dużo dzieci i młodzieży, a także dzieci wychowywanych przez samodzielnych rodziców. Dzięki własnym doświadczeniom łatwiej mi zrozumieć emocje młodych ludzi i spojrzeć na pewne sytuacje z większą empatią. Starałam się też stworzyć sobie taki model pracy, który pozwala mi być blisko mojego dziecka. Sama układam grafik, sama organizuję swoją pracę i dzięki temu mogę naprawdę uczestniczyć w jego życiu.

– Dużo mówisz o emocjach i komunikacji z dzieckiem.

– Bo uważam, że to bardzo ważne. Naszego pokolenia często nie uczono, jak rozmawiać o emocjach czy jak sobie z nimi radzić. Dlatego bardzo zależało mi na tym, żeby mój syn wiedział, że może przyjść do mnie z każdym tematem. Rozmawiamy praktycznie o wszystkim – o emocjach, relacjach, alkoholu, narkotykach, seksie. Nie mam sztywnego schematu, że „na ten temat rozmawia się dopiero w określonym wieku". Jeśli jakiś temat pojawia się naturalnie, po prostu o nim rozmawiamy. Wolę, żeby dowiedział się czegoś ode mnie niż z internetu czy mediów społecznościowych.

PRACA Z MŁODYMI LUDŹMI SPRAWIA, ŻE CAŁY CZAS JESTEM BLISKO NOWYCH EMOCJI I SPOSOBÓW MYŚLENIA.

– Masz poczucie, że dzisiejszym dzieciom bardziej brakuje rozmowy niż dostępu do informacji?

– Tak. Dzieci i młodzież mają dziś ogromny dostęp do informacji, ale często brakuje im bezpiecznej przestrzeni do rozmowy o emocjach. A emocje, które są tłumione, bardzo często znajdują ujście w destrukcyjny sposób – poprzez agresję, uzależnienia, autoagresję czy różne kryzysy psychiczne. Dlatego tak ważne jest, żeby rozmawiać i budować relację opartą na zaufaniu.

– Czy jakaś sytuacja szczególnie zapadła Ci w pamięć jako mamie?

– Pamiętam moment, kiedy przechodziłam przez bardzo trudny czas. Prowadziłam firmę w czasie pandemii, nagrywałam album, zmagałam się z bólem kręgosłupa. Byłam zmęczona i sfrustrowana. Wypożyczyłam wtedy książkę „Jak radzić sobie ze złością". Mój syn to zauważył. Następnego dnia rano pokłóciliśmy się o jakąś drobnostkę i podniosłam głos. Wieczorem, kiedy odebrałam go z przedszkola, spojrzał na książkę i powiedział: „I co? Nie pomaga?". To była dla mnie bardzo ważna lekcja. Poszliśmy wtedy razem na lody i długo rozmawialiśmy o emocjach. Przeprosiłam go. Chciałam, żeby wiedział, że dorośli też popełniają błędy i mają prawo do słabości.

– Masz poczucie, że praca z młodymi ludźmi sprawia, że sama pozostajesz mentalnie młoda?

– Chyba tak [śmiech]. Przez wiele lat nawet tego nie zauważałam. Dopiero niedawno zorientowałam się, że mentalnie jestem chyba bliżej dwudziestoparolatki niż stereotypowej czterdziestolatki. Dużo czytam, rozwijam się, pracuję z młodzieżą, obracam się w środowisku artystycznym. To wszystko sprawia, że cały czas jestem blisko nowych emocji, trendów i sposobów myślenia.

– Nie odnosisz czasem wrażenia, że trudno Cię jednoznacznie zaszufladkować?

– Bardzo często. Jestem trochę związana ze środowiskiem artystycznym, trochę z edukacyjnym, trochę z rozwojem osobistym. Najważniejsze jednak, że wszystko, co robię – zarówno muzyka, jak i działalność edukacyjna – wynika z prawdziwego doświadczenia. Nie tworzę pod algorytmy ani pod trendy. Piszę o życiu, o emocjach, o tym, czego sama doświadczyłam. Od zawsze kieruję się zasadą: „Bądź przy sobie". I tego staram się trzymać – zarówno jako artystka, kobieta, mama, jak i człowiek.

eprasa.pl 477b630995

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

CHAIR – PLEONASM
WYD. WŁASNE



Płyta wymaga od słuchacza cierpliwości, ale odwdzięcza się hipnotycznym klimatem. Chair poruszają się gdzieś między noise rockiem, post-punkiem i eksperymentalnym graniem, budując napięcie bardziej fakturą dźwięku niż klasycznymi melodiami. Album jest momentami duszny i niepokojący, ale właśnie w tym tkwi jego siła. Zespół świetnie operuje dynamiką – od minimalistycznych fragmentów po ściany hałasu, które niemal fizycznie przytłaczają. To muzyka dla osób lubiących zanurzyć się w dźwięku i szukać emocji ukrytych między chaosem a kontrolą.

TOWA BIRD – GENTLEMAN
WYD. INTERSCOPE



To album pełen energii, bezczelności i gitarowego charakteru. Artystka nie boi się ostrych riffów, dynamicznych zmian tempa i emocji podanych bez filtrów. Jej piosenki są zadziorne, momentami buntownicze, ale jednocześnie bardzo chwytliwe – słychać w nich zarówno fascynację klasycznym rockiem, jak i współczesną estetyką internetu oraz młodzieżowej popkultury. Największą siłą albumu jest autentyczność. Towa Bird nie próbuje udawać nikogo innego, a jej wokal i gitarowa ekspresja nadają materiałowi wyraźną osobowość. „Gentleman” może nie odkrywa rocka na nowo, ale wnosi do niego świeżość i młodzieńczą pewność siebie, której trudno odmówić uroku.

KEVIN MORBY – LITTLE WIDE OPEN
WYD. DEAD OCEANS



Kevin Morby od lat porusza się między folkową intymnością a gitarową melancholią. Album jest wyciszony, pełen przestrzeni i pozornie drobnych obserwacji. Morby śpiewa spokojnie, niemal szeptem, jakby prowadził nocną rozmowę z samym sobą, a oszczędne aranżacje tylko podbijają ten klimat. Gitary brzmią miękko i ciepło, rytm sekcji nigdy nie dominuje nad opowieścią, a całość ma w sobie coś filmowego. To muzyka dla tych, którzy lubią zanurzyć się w nastroju i nie oczekują natychmiastowych emocjonalnych eksplozji. „Little Wide Open” działa powoli, ale zostaje na długo.

GIVEON – BELOVED: ACT II
WYD. EPIC



Płyta pokazuje Giveona w bardzo dobrej formie i potwierdza jego wyjątkową pozycję we współczesnym R&B. Największym atutem pozostaje oczywiście jego głęboki, charakterystyczny baryton, który nadaje emocjonalnej intensywności nawet najprostszym wersom. Album jest oszczędny w środkach. Giveon śpiewa o relacjach, tęsknocie i rozczarowaniu w sposób elegancki, bez przesadnego dramatyzmu. Produkcja jest nowoczesna, subtelna i bardzo przestrzenna, co świetnie współgra z melancholijnym klimatem całości. „BELOVED: ACT II” nie próbuje redefiniować gatunku, ale robi dokładnie to, czego oczekuje się od dobrego R&B – buduje emocje i zostaje w głowie na długo po odsłuchu.

eprasa.pl 477b630995

Poznajmy się jeszcze raz

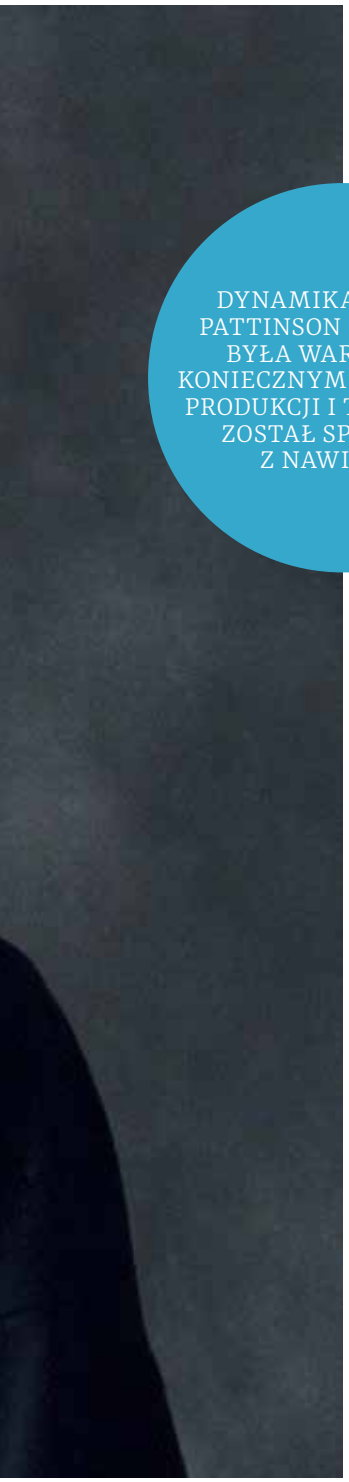
Sebastian Pytel



FILM

Zaczyna się jak w marzeniu sennym Alfreda Hitchcocka: chłopak poznaje dziewczynę. Albo jak w „Historii małżeńskiej" Noah Baumbacha – od słodyczy. Pan młody (Robert Pattinson) pisze dla panny młodej (Zendaya) mowę na dzień ślubu. Utkany z przymiotników tekst jest podsumowaniem ich wspólnego związku: podróży pełnej uniesień, wzlotów bez upadków, drobnych wad przysypanych tonami białego cukru. Jest też moment poznania: niezręczny podryw opowiadany tyle razy, że zmienił się w miłość od pierwszego wejrzenia. Usłana różami droga zdaje się nie mieć końca, przynajmniej do czasu nadepnięcia na pierwszy kolec. Zgrzyt przychodzi znienacka, tuż przed dopięciem ostatnich formalności. W trakcie zakrapianej winem kolacji ze świadkami z ust przyszłej żony wychodzi sekret,

eprasa.pl 477b630995



Fot. materiały dystrybutora

który przyszłego męża wprowadzi w stan głębokiego niepokoju. Rysa na diamencie czy bruzda zmieniająca wykrzykniki w znaki zapytania?

Spokojnie, to tylko brzmi tak poważnie. „Drama", na przekór tytułowi, jest przezabawnym filmem. Głównie przez pryzmat piętrowych paranoi, pączkujących w głowach przyrzeczonych małżonków. Kristoffer Borgli („Chora na siebie", „Dream Scenario") szybko narzuca całości lekki, farsowy ton (choć żarty potrafią tu kąsać jak teksty ze stand-upów Ricky'ego Gervaisa). Znakomicie wykorzystuje zarówno niuanse i przewrotność własnego scenariusza (od wspomnianego smoliście czarnego humoru po przemianę kobiecej bohaterki), jak i montażowe triki z nagłą zmianą perspektywy, projekcjami snów i domysłów oraz gwałtownymi cięciami przypominającymi DJ-skie skrecze. W te melodie wchodzi się dość łatwo w dużej mierze dzięki znakomitemu castingowi. Między Robertem Pattinsonem a Zendayą niewątpliwie jest chemia, bez trudu można uwierzyć, że są parą zarówno szczęśliwą, jak i w kryzysie. Ten pierwszy nie pierwszy raz udowadnia, że pod maską poważnego aktora dramatycznego skrywa niemały komediowy talent. Amerykański gwiazdor bez pudła trafia w różne tonacje (od elementów slapsticku po klasyczny komizm postaci), slalomem przechodzi od najeżonych dwuznacznościami szermierek słownych do połykania paniki z kamienną twarzą, a przede wszystkim znakomicie operuje własną fizjonomią – szczególnie w momentach, gdy warstwa po warstwie oskrobuje swoją postać z pozorowanego luzu i opanowania na rzecz kłębowiska nerwów i zaawansowanego czarnowidztwa. Ta druga z kolei świetne wygrywa napięcie między żalem za bycie szczerą do bólu, a autentyczną potrzebą pomocy w nieprzepracowanym wydarzeniu z przeszłości. Śmiałe wyznanie wpędza ją w niemałe kłopoty, choć trochę innego kalibru niż zakładała. Jednocześnie silny stres sprawia, że nie wie, czy powinna się bronić, czy atakować, w dodatku rzeczywistość zdaje się mieć jej kosztem przednią zabawę. Dynamika na linii Pattinson – Zendaya była warunkiem koniecznym do sukcesu produkcji i ten wymóg został spełniony z nawiązką.

DYNAMIKA NA LINII PATTINSON – ZENDAYA BYŁA WARUNKIEM KONIECZNYM DO SUKCESU PRODUKCJI I TEN WYMÓG ZOSTAŁ SPEŁNIONY Z NAWIĄZKĄ.

„Drama" sprytnie obchodzi reguły komedii romantycznych, spełnia modną ostatnio definicję słowa „poszerzony", doklejaną głównie do horrorów. Obchodzi nie znaczy jednak odchodzi. To z grubsza wciąż ta sama ścieżka od zakochania do zawodu i z powrotem, tylko trochę bardziej kręta, wychodząca poza mapę gatunkowych prawideł. Borgli komplikuje, omija utarte schematy, sięga tam, gdzie rom-comy zazwyczaj nie sięgają. Wzorem „poszerzonych" horrorów czerpie ze źródeł niekojarzonych z przystępną rozrywką – bierze na warsztat tematy graniczne, po czym skleja je z opowieścią tak, by nie dało się ich strząsnąć lub zarzucić, że są nie na miejscu. To klasyczna obróbka dwóch pieczeni na jednym ogniu: z jednej strony rozbrajanie narodowego tabu (kontrowersja dźwignią handlu), z drugiej – osadzenie treści własnego tekstu w konkretnej rzeczywistości (komediom romantycznym, podobnie zresztą jak horrorom, często zarzucamy przecież istnienie w próżni – nie tym razem).

„DRAMA" SPRYTNIE OBCHODZI REGUŁY KOMEDII ROMANTYCZNYCH, SPEŁNIA MODNĄ OSTATNIO DEFINICJĘ SŁOWA „POSZERZONY", DOKLEJANĄ GŁÓWNIE DO HORRORÓW.

Finał natomiast przynosi kolejną woltę, jak na dzisiejsze czasy, zaskakująco konserwatywną. Gdy opada bitewny kurz, nad placem boju unosi się szlachetne przesłanie, mocno opozycyjne względem narracji pudelkowo-onetowych: walczcie o siebie, nie poddawajcie się, poznajcie się jeszcze raz. Tym sposobem Borgli odsłania naturę magika – ma ciastko i zjada ciastko, zaspokaja ambicje artystyczne i obowiązki komercyjne, jest ironiczny i romantyczny. Wracamy więc do punktu wyjścia: do esencji dobrego scenariusza i do miłości – obie z założenia są początkiem ciężkiej pracy i dobrej zabawy.

„Drama" (The Drama), reżyseria: Kristoffer Borgli, scenariusz: Kristoffer Borgli, obsada: Robert Pattinson, Zendaya, Alana Haim, Mamoudou Athie, Hailey Gates, gatunek: dramat, czarna komedia, produkcja: USA 2026, czas: 105 minut.

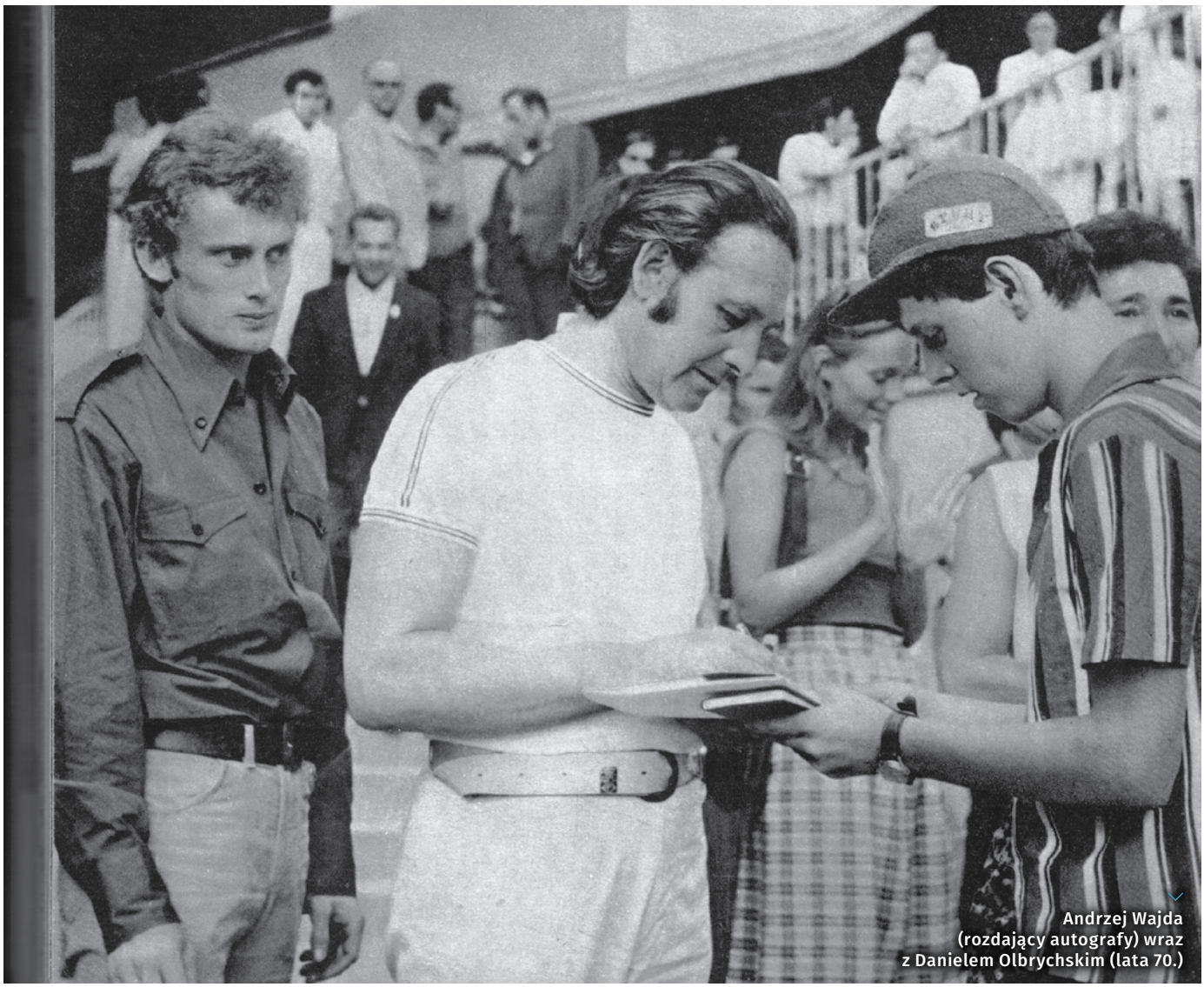
eprasa.pl 477b630995

Pan autorytet patrzy na robotnika

Andrzej Wajda mówił o sobie, że maluje historię Polski jak Jan Matejko, ale był kimś więcej niż tylko twórcą filmowym. Sam uznał się za **narodowe sumienie** i grał tę rolę konsekwentnie do końca.

Jarosław Jakubowski

Choć polska szkoła filmowa, której Wajda był czołowym twórcą, napisała swój oryginalny rozdział w historii kina światowego dzięki sięganiu po stricte polskie tematy, takie jak rozrachunek z II wojną światową, to dopiero w latach 70. reżyser „Popiołu i diamentu" zaczął wprost nawiązywać do sytuacji politycznej w kraju.



Andrzej Wajda (rozdający autografy) wraz z Danielem Olbrychskim (lata 70.)

Fot. Wikipedia

eprasa.pl 477b630995

Filmowy manifest robotników

Przełomem był „Człowiek z marmuru”, film rozliczeniowy mieszczący się jeszcze w nurcie kina moralnego niepokoju, ale już zapowiadający nowe otwarcie w polskiej kinematografii. „Człowiek…” z ikonicznymi rolami Krystyny Jandy i Jerzego Radziwiłowicza opowiadał historię przodownika pracy socjalistycznej Mateusza Birkuta, który zniknął niespodziewanie około 1952 roku. Historia, podana w formie dziennikarskiego śledztwa na temat wydarzeń sprzed ćwierćwiecza, dzieje się jednak „tu i teraz” i ma nerw współczesności, naznaczonej Grudniem ’70 i Czerwcem ’76. Film miał premierę rok później i z miejsca stał się manifestem grupy, która stanowiąc rzekomo bazę „Polski Ludowej”, przez jej nomenklaturowych władców była pogardzana. Ta grupa to robotnicy, do której zresztą Wajda miał stosunek ambiwalentny, charakterystyczny dla PRL-owskiej inteligencji. Cienka była bowiem granica, która rozdzielała słuszny gniew robotniczy od z gruntu niesłusznych wystąpień „hołoty”. O tym zaś, co mieści się po właściwej stronie granicy dopuszczalności, a co zasługuje na śmietnik historii, decydowali oczywiście intelektualiści, mocą przynależnego im niejako „z urzędu” autorytetu.

Zauroczenie Solidarnością

Ostatecznie doprowadziło to do rozejścia się dróg Solidarności i części intelektualistów, ale wtedy, u schyłku lat 70., wydawało się, że nic nie jest w stanie rozerwać tego polsko-polskiego przymierza. Jego przypieczętowaniem, prawdziwą arką były Porozumienia Sierpniowe. Wajda szybko zwietrzył wielki temat. Po krótkich wahaniach podpisuje się pod apelem 64 intelektualistów o rozpoczęcie przez Komisję Rządową rozmów z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym, który zawiązał się 16 sierpnia 1980 roku w Gdańsku, z Lechem Wałęsą jako przewodniczącym. Co znamienne, Wajda podpisuje się jako „reżyser filmu «Człowiek z marmuru»”. Z jego inicjatywy do Gdańska wybiera się ekipa filmowa Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Reżyserzy Andrzej Chodakowski i Andrzej Zajączkowski, a także operatorzy Michał Bukojemski i Jacek Petrycki dokumentują strajk w Stoczni Gdańskiej. Powstaje film „Robotnicy ’80”, którego robocza wersja będzie miała premierę we wrześniu na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku.

Sam Wajda jeszcze 25 sierpnia notuje: „Trzeba pisać film «Człowiek z marmuru II». Telefonować do Ścibora [Aleksandra Ścibora-Rylskiego, scenarzysty – przyp. J.J.], zbierać szczegóły, składać scenariusz!”. W Stoczni pojawia się 29 sierpnia. Przez strajkujących stoczniowców jest przyjmowany jak „swój”. „Mówią, że nie trzeba pokazywać dowodu, który wtykam im do ręki. Chcą tylko autografów, i to na pomarańczowych kartkach gazetki «Solidarność». Podpisuję, ale proszą o datę” – notuje. Wajda jest zaskoczony i zafascynowany atmosferą spokoju i podniosłości, w jakiej odbywa się strajk. Ludzie w Stoczni pytają go, kiedy będzie dalszy ciąg „Człowieka z marmuru”, który znają tu wszyscy, czy zrobi film „Człowiek z żelaza.” Wajda poznaje Lecha Wałęsę – ta znajomość zaważy na późniejszej drodze twórczej i politycznej reżysera.

Jeszcze tego samego dnia w gazetce strajkowej ukazuje się wywiad z reżyserem, który potwierdza wolę kontynuacji „Człowieka…” i na gorąco dzieli się wrażeniami: „Czuję, że jestem świadkiem jakiegoś fragmentu naszej historii, co nieczęsto się zdarza. Przeważnie historia przechodzi obok nas, a tutaj widzi się jej obecność bezpośrednią”.

Z INICJATYWY WAJDY DO GDAŃSKA WYBIERA SIĘ EKIPA FILMOWA STOWARZYSZENIA FILMOWCÓW POLSKICH DOKUMENTUJĄCA STRAJK W STOCZNI GDAŃSKIEJ. POWSTAJE FILM „ROBOTNICY ’80”.

Na fali historii

Mówi się czasem, że jakiś twórca jest na fali. W przypadku Wajdy w 1980 roku była to fala historii i społecznych oczekiwań, a wręcz – narodowego zamówienia. „Człowiek z żelaza” jest filmem, który po prostu musiał zostać nakręcony. Mało tego, musiał zostać nakręcony nie przez kogoś innego, tylko właśnie przez Andrzeja Wajdę. Nie każdy twórca wyszedłby obronną ręką spod tak ogromnej presji.

Ale nie reżyser „Człowieka z żelaza”. Film, powstający niemal równolegle (z kilkumiesięcznym poślizgiem) z wydarzeniami w Stoczni Gdańskiej, okazał się sukcesem artystycznym, zdobył Złotą Palmę w Cannes w 1981 roku i stanowił udane połączenie dokumentalnego niemal oddania faktów historycznych (z ich autentycznymi bohaterami i fragmentami na ekranie) z mitologizacją polskiego losu, czego Wajda był mistrzem. W jakimś sensie syn Birkuta – Maciek Tomczyk vel Mateusz Birkut – stał się przedłużeniem postaci Maćka Chełmickiego z „Popiołu i diamentu”. Było to możliwe również dzięki aktorskiej charyzmie Radziwiłowicza.

Wajda był niekwestionowanym liderem polskiego środowiska filmowego, kierował w tym okresie Studiem Filmowym „X”, a także Stowarzyszeniem Filmowców Polskich, do tego od dawna cieszył się uznaniem za granicą. Z kimś takim

eprasa.pl 477b630995

władze musiały się liczyć, a reżyser ze swojej pozycji bezwzględnie korzystał, dodajmy uczciwie, że nie tylko dla własnej kariery, ale też dla dobra polskiej kinematografii. Po Sierpniu '80 dostrzegł dla siebie jeszcze jedną rolę. Jako reżyser licznych filmów silnie zakorzenionych w polskiej historii i kulturze, w naturalny sposób zasilił grono autorytetów, otaczających liderów Solidarności, szczególnie Lecha Wałęsę. Sam zapisał się do Związku krótko po jego rejestracji.

Inscenizacje rzeczywistości

Wydana w 2024 roku czterotomowa edycja „Notesów" Andrzeja Wajdy, przygotowana przez Tadeusza Lubelskiego i Agnieszkę Morstin, stanowi nieoceniony materiał źródłowy – również na temat przemiany twórcy „Krajobrazu po bitwie" z reżysera filmowego w doradcę, a w końcu w narodowe sumienie. Symptomatyczna jest relacja z 13 listopada 1980 roku ze spotkania z Wałęsą w Hotelu Sejmowym. Wajda, Stefan Bratkowski i Klemens Szaniawski namawiają przewodniczącego do spotkania z I sekretarzem Stanisławem Kanią. Wałęsa się waha. „My uważamy za nienormalne, że ci dwaj ludzie – Wałęsa i Kania – nie znają się osobiście. Nie widzieli się na oczy, zdani na relacje osób trzecich. To jest zbyt niebezpieczne". Pomijając naiwność tych rachub, zwraca uwagę skłonność Wajdy do reżyserowania nie tylko filmu, ale też rzeczywistości.

15 grudnia 1980 roku, w 10. rocznicę masakry robotników Wybrzeża, zostaje odsłonięty pomnik Poległych Stoczniowców przy bramie Stoczni Gdańskiej. Na prośbę Komitetu Budowy Pomnika Wajda jest inscenizatorem uroczystości, w której jako narrator występuje „jego" aktor Daniel Olbrychski. Przy tej okazji reżyser cytuje wypowiedź „robotników", rzekomo zasmuconych, że na sztandarze Solidarności widnieje Matka Boska, „oczywiście Częstochowska", jakby był to zarzut. „Jeżeli kler będzie dalej tak dyskontował swój udział w strajkach stoczniowych, poważnie zagrozi ruchowi" – przestrzega w „Notesie".

W głównym nurcie zdarzeń

Rozdźwięk między nastrojami mas związkowych a, skądinąd racjonalnym, oglądem sytuacji prezentowanym przez Wajdę ujawnia również sprawa „wydarzeń bydgoskich" – 19 marca milicjanci pobili kilku działaczy związkowych, którzy przyszli do Wojewódzkiej Rady Narodowej, aby na sesji upomnieć się o Solidarność rolników indywidualnych. Nad komunikatem po zajściach radzi Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych, w którym zasiada reżyser. „Tłumaczę, że cała sprawa Bydgoszczy nie jest jasna dla zagranicy (a zatem i dla całego kraju). Trzech pobitych związkowców to dla Zachodu nie powód do strajku generalnego, a dla nas początek likwidacji Solidarności" – zapisuje trzy dni później. Kryzys wypala się wraz z czterogodzinnym strajkiem ostrzegawczym 27 marca.

PO PORWANIU KS. JERZEGO POPIEŁUSZKI WAJDA UCZESTNICZY W CZUWANIACH W ŻOLIBORSKIM KOŚCIELE ŚW. STANISŁAWA KOSTKI.

Stan wojenny zastaje reżysera w trakcie Kongresu Kultury odbywającego się w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. Znowu jakby wszystko zostało zainscenizowane przez nieznanego demiurga. Wajda zdążył jeszcze 12 grudnia wystąpić upominając się o stworzenie samorządu artystycznego i o nową służebną rolę Ministerstwa Kultury.

Po porwaniu ks. Jerzego Popiełuszki Wajda uczestniczy w czuwaniach w żoliborskim kościele św. Stanisława Kostki. 31 października 1984 r., na wieść o znalezieniu ciała kapłana, notuje poruszony: „Sprawcą tej strasznej zbrodni jest ideologia nienawiści, teoria walki klas... Stan wyjątkowy. Ci, którzy drukowali o księdzu Jerzym w oficjalnych gazetach, dali przyzwolenie na Jego śmierć". Wajda uczestniczy w pogrzebie księdza.

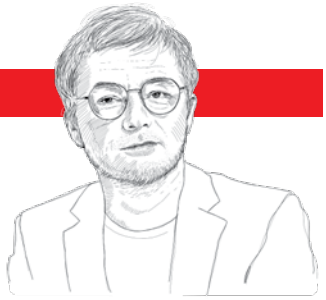
Potrzeba nowego spojrzenia

U schyłku dekady towarzyszy polskim sprawom już bardziej jako instytucja „Andrzej Wajda" niż reżyser filmowy. Wchodzi w skład Komitetu Obywatelskiego „Solidarności". Mało kto dziś pamięta, że spółka Agora, która do dziś wydaje „Gazetę Wyborczą", powstała w mieszkaniu Wajdy na Żoliborzu. W latach 1989–1991 reżyser sprawował mandat senatora i choć walczył o prawa twórców w obliczu załamania się państwowego mecenatu nad kinematografią, to jednak przede wszystkim sam pozostał twórcą. W ostatnich latach aktywności artystycznej nakręcił „Wałęsę. Człowieka z nadziei" (2013). Nie powstała hagiografia, po publikacji ustaleń Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka takowa nie była już możliwa, ale też obrazowi daleko do najlepszych dzieł Wajdy. Trzeba oddać mu sprawiedliwość, że starał się zrobić film uczciwy, w pewnym sensie o człowieku... zawiedzionych nadziei.

Ustanowiony przez Senat RP Rok Andrzeja Wajdy, w którym obchodzimy setną rocznicę urodzin (6 marca 1926 r.) i dziesiątą rocznicę śmierci reżysera (9 października 2016 r.), jest dobrym pretekstem, aby wrócić do jego dzieł. Nie w duchu surowej rewizji, ale nowego, świeżego odczytania, którego wszyscy chyba potrzebujemy.

eprasa.pl 477b630995

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Zbrodnie folwarcznego zarządzania

Jan Wróbel

Raport NIK w sprawie zarządzania Instytutem Badań Edukacyjnych omówili niedawno Anna Wittenberg i Marek Mikołajczyk (w portalu Zero.pl). Raport, jak to się mówi, „miażdżący" – w każdym razie dobrze udokumentowany. Wittenberg i Mikołajczyk śledzą kłopoty Instytutu już od dłuższego czasu i na dodatek są dziennikarzami, a nie funkcjonariuszami ministerstwa polaryzacji i hejtu, artykuł czyta się zatem bardzo dobrze. Pomaga też w przyswajaniu treści, że instytutowe „zbrodnie" nie były, powiedzmy, praniem brudnych pieniędzy czy innego rodzaju przestępstwem. Chodzi o sposób zarządzania przez środowisko polityków dużą i bogatą instytucją publiczną. Jakoś przywykliśmy do tego, że państwowe instytucje stanowią przechodni prezent. Wchodząc do podarowanej „firmy", politycy powtarzają za Barackiem Obamą: „Yes, we can". I robią, co chcą. Bo mogą.

Podczas lektury pomyślałem sobie, że autorzy napisali artykuł nikomu do niczego niepotrzebny. Cóż, wynika z niego, że „zbrodnie" folwarcznego zarządzania popełniano w czasach PiS... i także w czasach PO (KO). No i kto ma to niby czytać? Tzw. normalny polski czytelnik treści politycznych szuka w mediach potwierdzenia swojej wizji świata. Całe PiS kradnie. A bardzo proszę. Donald Tusk – agent Niemiec. A, świetnie. Jednak ktoś, kto problem widzi w zbiorowym, nawykowym i bezceremonialnym lekceważeniu dobrych zasad, jest nikomu niepotrzebnym reliktem z epoki Ludzi Przyzwoitych.

Za Przemysława Czarnka konkursy na stanowiska w IBE „prowadzono nierzetelnie" (no, kto by pomyślał?). Flagowy projekt ministra „Laboratoria Przyszłości" pozyskał ponad 30 mln złotych z naruszeniem prawa („ówczesny dyrektor instytutu dr hab. Robert Ptaszek złożył wniosek o środki, zanim w ogóle weszły w życie przepisy pozwalające IBE na ich otrzymanie"). Rachunkowość prowadzono bez poszanowania procedur. Etc.

I kiedy czytelnik, przecież już przedtem wiedzący, jakim potworem jest PiS, umocnił się w przekonaniu, że rozumie świat, natrafia na opis działań Instytutu za nowej władzy:

„Dwa tygodnie po tym, jak stery w rządzie przejęła nowa koalicja [...] rozwiązano umowę na projekt Portal edukacja.gov.pl. – Nie ma tu nic, co moglibyśmy przejąć, czym moglibyśmy się pochwalić – mówiła w lutym 2024 r. podczas konferencji prasowej wiceminister edukacji Katarzyna Lubnauer [...]. Jednak decyzja o jego zamknięciu była pochopna, bo najpierw odebrano pieniądze i doprowadzono do zwolnienia programistów, a dopiero później zlecono audyt prac. Kiedy więc przyszło do kontroli, nie było już kogo zapytać. Zdaniem NIK zmarnowano w ten sposób co najmniej 18,7 mln zł".

WITTENBERG I MIKOŁAJCZYK ANALIZUJĄ ZJAWISKA, A NIE POTĘPIAJĄ PiS CZY KO.

Programiści nie byli jedynymi zwolnionymi. Z 445 pracowników instytutu w ciągu dwóch lat zwolniono ponad sto osób. Następnie ponad 100 zatrudniono.

I tam oto mamy analizę zjawiska, a nie potępienie PiS albo KO. Przepraszam, ale komu to potrzebne?

eprasa.pl 477b630995

Społeczeństwo

ŚWIADKOWIE JEHOWY – pogubieni czy groźni?



Fot. Adobe Stock

Stopa w drzwiach. I to dosłownie. Takie jest zapewne **najbardziej popularne** pierwsze skojarzenie ze świadkami Jehowy.

Agnieszka Żurek

Dla jednych sekta, dla innych – związek wyznaniowy. Według Magdaleny Szostak, autorki książki „Świadkowie Jehowy" wydanej właśnie przez Dominikańskie Centrum Informacji o Nowych Ruchach Religijnych i Sektach, ludzie ci potrzebują przede wszystkim modlitwy Kościoła i jasnego świadectwa jego członków o tym, kim są Chrystus i Jego nauka.

eprasa.pl 477b630995

Wszechwładni „starsi zboru”

„Świadków Jehowy pamiętam jako ludzi szczerze zaangażowanych religijnie, natomiast to w Kościele czuję trud funkcjonowania – dotyka mnie letniość katolików, hipokryzja, bolą mnie gorszące podziały czy próby liberalizowania zasad Bożych przez część katolickiej inteligencji” – przyznaje Szostak, która wychowała się w rodzinie świadków Jehowy, następnie od nich odeszła i porzuciła życie religijne, po pewnym czasie powracając do niego już w Kościele katolickim.

„Właśnie tutaj Bóg objawia nam siebie najpełniej. Codziennie zachwycają mnie nauka Kościoła katolickiego, liturgia, dostęp do sakramentów, i niemal każdego dnia ubolewam, że wszystko to jest zakryte przed moimi krewnymi. Widzę ich przede wszystkim jako ofiary duszpasterskiego zaniedbania, którego nie jestem w stanie nadrobić własnymi wysiłkami, a następnie jako ofiary manipulacji heretyckiego związku wyznaniowego. Członkom mojej rodziny nie sposób przekazać Dobrej Nowiny o Jezusie Chrystusie, który jest Bogiem (uważają Go jedynie za największego z aniołów). Są szczelnie zamknięci, myślą wyuczonymi schematami, rozmawiają według określonych scenariuszy, nie dopuszczają do siebie wiedzy z innych źródeł niż Towarzystwo Strażnica. Krytykę organizacji odbierają jako bezpośredni atak na Boga Jehowę” – wylicza autorka książki.

Świadków Jehowy jest obecnie w Polsce ok. 100 000, co daje im miejsce trzeciego największego związku wyznaniowego w kraju. Centrum koordynujące działalność polskich świadków Jehowy mieści się w podwarszawskim Nadarzynie, a historia ich obecności nad Wisłą liczy ponad 130 lat. Początek polskim zborom dały praktyki wędrownych kaznodziejów amerykańskich. Przed działalnością świadków Jehowy przestrzegał w dwudziestoleciu międzywojennym m.in. św. Maksymilian Maria Kolbe, wskazując na związane z nią duchowe niebezpieczeństwa. Ich wierzenia bazują na religii chrześcijańskiej, jednak w znaczący sposób ją wypaczają – począwszy od nieuznawania boskości Chrystusa, przez postrzeganie osoby Ducha Świętego jako „energii”, po odrzucenie koncepcji nieśmiertelności duszy. Świadkowie Jehowy głoszą bliskość końca świata i nadejścia Armageddonu, który przetrwać mają jedynie gorliwi wyznawcy Jehowy. Jako pośredników między sobą a Bogiem traktują „starszych zboru”, którym zobowiązani są bezwzględne posłuszeństwo moralne i materialne. Elementy wspólne z chrześcijaństwem to z kolei poglądy antyaborcyjne, promowanie uczciwości, skromności, wstrzemięźliwości seksualnej, pracowitości i służby na rzecz bliźniego.

Pismo Święte jako źródło nadziei

Magdalena Szostak podkreśla, że świadkowie Jehowy, choć deformują nauczanie biblijne, to jednak gorliwie studiują Pismo Święte i mają do niego duży szacunek. „Po nawróceniu dostrzegłam konieczność zaopatrzenia się w inne tłumaczenie Biblii, ale faktem jest, że właśnie świadkom Jehowy zawdzięczam utrwalenie we mnie przekonania, że Pismo Święte jest źródłem nadziei. Myślę, że wyposażyli mnie w narzędzie, którego nie dała swoim dzieciom niejedna katolicka rodzina” – przyznaje.

Do świadków Jehowy odnosi się z dużym zrozumieniem i współczuciem i zaznacza, że celem napisania przez nią książki na temat tego środowiska nie jest napiętnowanie go, ale przeciwnie – potrzeba wyjścia naprzeciw zmanipulowanym ludziom. „Chciałabym dać wierzącym katolikom materiał, dzięki któremu będą oni potrafili lepiej zrozumieć osoby zwiedzione działalnością Towarzystwa Strażnica” – podkreśla Szostak. Autorka książki nie namawia jednak do prób „nawracania” świadków Jehowy na własną rękę, przestrzegają przed tym także duchowni katoliccy.

„Sekciarski charakter ma rygorystycznie stosowana zasada ostracyzmu. Od członków wymaga się, aby zerwali wszelkie kontakty i unikali tych, którzy opuścili ich organizację lub zostali z niej wydaleni. Przełożeni zborów żądają też ślepego posłuszeństwa. Ponadto wpaja się mocne przekonanie, iż dostrzeganie jakichkolwiek błędów organizacji – np. nietrafne przepowiednie dotyczące końca świata, brak logiki i konsekwencji w swych naukach – oraz wątpliwości co do doktryny to oznaka duchowej słabości jednostki” – wskazuje na łamach „Przymierza z Maryją” ks. Marcin Kostka. „Świadkowie Jehowy mają obowiązek intensywnego starania się o nowych członków. Ilość godzin głoszenia, czyli chodzenia

ŚWIADKÓW JEHOWY JEST W POLSCE OKOŁO 100 000, CO DAJE IM MIEJSCE TRZECIEGO NAJWIĘKSZEGO ZWIĄZKU WYZNANIOWEGO W KRAJU.

eprasa.pl 477b630995

od drzwi do drzwi, zaczepiania ludzi w parku, na ulicy, jest spisywana i przekazywana przełożonym. Werbując nowe osoby, stosują typową dla sekt metodę „bombardowania miłością". Pewne informacje są niedostępne dla zwykłych wyznawców, ale wyłącznie dla starszych zboru. Ponieważ świadkowie Jehowy głoszą w parach, pilnują siebie nawzajem, gdyż mają obowiązek zdawania relacji o postawie osoby, z którą chodzą po domach. Nie mogą np. przyjąć od nas żadnej broszurki, bo towarzysz doniósłby o tym fakcie. Są to elementy psychomanipulacji bardzo typowe dla zachowań sekciarskich" – wylicza. „Jeśli jednak zdecydujemy się na rozmowę, to na pewno powinniśmy ich traktować z miłością, pamiętając, że są to tak naprawdę ludzie skrzywdzeni przez swą organizację. Trzeba być świadomym dramatu tych ludzi. Na rozmowę z nimi powinny się decydować tylko osoby, które są ugruntowane w swojej wierze i znają dobrze Pismo Święte. Warto na początek zaproponować wspólną modlitwę, choć raczej się na to nie zgodzą. Można też złożyć świadectwo własnej wiary. No i przede wszystkim powinniśmy się modlić, aby dobry Bóg dał im łaskę dostrzeżenia tego, kim naprawdę jest Chrystus Pan. By dał im łaskę nawrócenia" – konkluduje kapłan.

Kryzys jest szansą

Podobne wnioski formułuje na łamach swojej książki Magdalena Szostak, wskazując zarazem na fakt, że w ostatnim czasie zbory świadków Jehowy na całym świecie przeżywają poważny kryzys, co może skłaniać ich do rozpoczęcia poszukiwań duchowych poza organizacją. „Wielu wyznawców zaczyna nabierać dystansu do tego, co kiedyś przedstawiono im jako «prawdę». Dzieje się tak z różnych powodów. Niektórzy doznali prawdziwego szoku, gdy na jaw wyszły nadużycia seksualne starszych zboru wobec dzieci, które ujawniła tzw. komisja australijska. Innych powodów do zwątpienia w naukę Towarzystwa Strażnica dostarczyła pandemia. Kiedy zebrania zborowe mogły odbywać się wyłącznie za pośrednictwem platform typu Zoom, niektóre osoby zauważyły banalność przekazywanych im treści – bez atmosfery serdeczności (swoistego „love bombingu" [„bombardowania miłością"]), którą o wiele łatwiej wykreować na żywo, bez typowych dla świadków uścisków dłoni i miłych rozmów przed rozpoczęciem oficjalnego programu spotkania i po nim, pozostała sama nauka i wiele czasu na samodzielną refleksję. Niektórzy byli świadkowie twierdzą, nieco złośliwie, ale nie bez racji, że do odejść wielu osób przyczynili się również bracia z Ciała Kierowniczego, bo gdy i oni zdecydowali się na kontakt ze współwyznawcami za pośrednictwem regularnych wideopodcastów, nagle się okazało, jak infantylny jest przekaz tych, którzy uchodzą za duchowe autorytety... I jak nieznośne jest ich nagabywanie o pieniądze, które wplatają w pouczenia na temat prawa Bożego" – pisze Magdalena Szostak.

„Na zbory świadków Jehowy nie należy już patrzeć jak na wspólnoty gorliwców, lecz raczej jak na ludzi wyczerpanych, którzy często przeczuwają albo nawet dokładnie wiedzą, że ich przywódcy religijni nie służą Bogu. Nie powinien być to jednak dla nas powód do satysfakcji, lecz do serdecznego współczucia i mobilizacji, ponieważ te osoby – nie tylko rozczarowane nauką, którą przyjęły, ale i nieufne wobec każdego «systemu religijnego» – potrzebują duchowej pomocy" – dodaje.

Szostak zaznacza, że świadkowie Jehowy, jako osoby nieposiadające wyższego wykształcenia (bo przez dekadę Towarzystwo Strażnica wmawiało młodym ludziom, że studia są czymś z gruntu złym) oraz jako osoby mentalnie odcięte przez swoją organizację religijną od nieaprobowanych przez nią źródeł wiedzy, zostali de facto pozbawieni możliwości badania historii, a na tej „zaprojektowanej ignorancji" łatwo bazować manipulantom. „Pamiętajmy, że zarówno obecnym, jak i byłym świadkom Jehowy należy się z naszej strony serdeczne współczucie okraszone nie poczuciem wyższości, lecz modlitwą. A kiedy jest taka możliwość – dobrym słowem. I naszym osobistym świadectwem – świadectwem dzieci Bożych, które żyjąc w harmonii z nauczaniem Kościoła katolickiego, na poważnie żyją Ewangelią. Tylko w ten sposób jesteśmy w stanie wzbudzić w nich głód Boga, który jest Prawdą i Miłością. Głód, który mogą zaspokoić w naszym Kościele" – stwierdza autorka książki „Świadkowie Jehowy". S

MAGDALENA SZOSTAK PODKREŚLA, ŻE ŚWIADKOWIE JEHOWY, CHOĆ DEFORMUJĄ NAUCZANIE BIBLIJNE, TO JEDNAK GORLIWIE STUDIUJĄ PISMO ŚWIĘTE I MAJĄ DO NIEGO DUŻY SZACUNEK.

eprasa.pl 477b630995

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Panie Tomku, wracamy do zdjęć śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Tomek: – Mam ich kilka. Dziś prezentowane pochodzi z koncertu w ramach dni przyjaźni polsko-gruzińskiej.

– W Gruzji, jak wiadomo, śp. Lech Kaczyński cieszył się dużym szacunkiem.

– Oczywiście! To tam padły słynne słowa: „I my też świetnie wiemy, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze Państwa Bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę".

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 477b630995

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **26 MAJA** zdarzyło się:

1896 – w Moskwie został koronowany ostatni car Rosji Mikołaj II Romanow;

1956 – w Krakowie zainaugurował działalność kabaret Piwnica pod Baranami.



Kapitan Henryk Flame

Zakochani w wolnej, suwerennej i NIEPODLEGŁEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Sebastian Reńca

Fot. Wikimedia Commons (3)

eprasa.pl 477b630995

Tamtej sierpniowej nocy roku 1946 była godzina 21, gdy trzech mężczyzn w towarzystwie siedmiu partyzantów wyszło ze schroniska „Źródła Wisły" na Baraniej Górze. Jednym z tych trzech mężczyzn był kapitan „Lawina" z dowództwa Narodowych Sił Zbrojnych. Gdy szli, kapitan stracił poczucie czasu, ponadto droga w ciemnościach i przez leśną gęstwinę była nie do odtworzenia. Późną nocą dotarli do obozowiska, które składało się z kilku słabo oświetlonych namiotów. W jednym z nich **kapitan „Lawina" spotkał się z kapitanem „Bartkiem"**.

W pierwszej chwili „Bartek", aczkolwiek z rezerwą, przywitał mnie jako „kpt. Lawinę" i przedstawił swoim ludziom. Byli mjr ksiądz o nieznajomym nazwisku, który jak zresztą wszyscy w namiocie, leżał pod kocem tylko w spodenkach, dalej zastępca „Bartka" – „Jasiek" i „Sęp". „Bartek" był w stanie mocno podchmielonym i przywitanie rozpoczął od kolejnej wódki – raportował wkrótce po spotkaniu 9 sierpnia 1947 r. funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa Henryk Wendrowski, były żołnierz Armii Krajowej i współpracownik sowieckiego kontrwywiadu wojskowego Smiersz, który „Bartkowi" przedstawił się jako przedstawiciel dowództwa „Lawina". Tak naprawdę był regularnym prowokatorem i nie była to jego pierwsza i ostatnia tego typu akcja.

W sierpniu 1946 r. operacja „kapitana Lawiny" wchodziła w decydującą fazę, która miała mieć finał już wkrótce, bo we wrześniu. Wtedy to zamordowano ponad stu żołnierzy „Bartka"...

Gotowi byli walczyć, gotowi byli umierać

7 maja prezydent Karol Nawrocki wziął udział w ceremonii pogrzebowej szczątków żołnierzy NSZ ze zgrupowania kapitana Henryka Flamego „Bartka". Na nowo otwartym Cmentarzu Wojennym Żołnierzy NSZ w Kamesznicy pochowano 58 żołnierzy. Przez lata leżeli oni w bezimiennych mogiłach, m.in. w Starym Grodkowie. Prace poszukiwawczo-ekshumacyjne prowadził zespół Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN. O ich przebiegu mówił kilka lat temu prof. Krzysztof Szwagrzyk, szef biura:

– Tym, co jako pierwsze „ujawniło się" w tym miejscu, był krzyż harcerski i ryngraf, które przekonały nas, że dokładnie w tym miejscu należy przeprowadzić obszerne badanie archeologiczne. W 2016 roku odnaleźliśmy zbiorowe mogiły, do których zrzucono ciała pomordowanych żołnierzy. Odnalezione szczątki nosiły uszkodzenia charakterystyczne dla eksplozji. Widoczne też były rany postrzałowe. Niewiele dalej, z drugiej strony baraku, odnaleźliśmy dół z resztkami spalonej odzieży i rzeczy osobistych.

W Kamesznicy pochowano nie wszystkich odnalezionych, część z nich zostało wcześniej złożonych w grobach rodzinnych.

– Żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych zgrupowania Henryka Flamego „Bartka", gdy wczytamy się w każdy pojedynczy życiorys, zakochani byli w wolnej, suwerennej, niepodległej Rzeczypospolitej. Tylko taką znali, w takiej się rodzili, taka ich kształtowała po roku 1918, taką ukochali, dla takiej gotowi byli walczyć i dla takiej gotowi byli umierać – mówił podczas uroczystości pogrzebowych Karol Nawrocki.

Prezydent RP nazwał dzień ich pogrzebu dniem powrotu bohaterów:

– Oczywiście jest to duchowa refleksja i modlitwa jak zawsze podczas pożegnania i podczas pogrzebu. Ale z drugiej strony jest to powrót prawdy, powrót bohaterów pod swoją Baranią Górę, na swoją Żywiecczyznę, na swoje Podbeskidzie. Tych bohaterów, których komuniści nie tylko zabili, ale chcieli także ich wykreślić, ewaporować, wymazać z narodowej pamięci. I robili to przez blisko 50 lat, a niestety także po roku 1989, gdy wielu zdrajców nazywano bohaterami, a bohaterów zdrajcami.

Dziś ci, którzy nie pogodzili się z tym, że Polska, pod sowieckimi bagnetami traciła suwerenność, po latach niemieckiej okupacji nie złożyli broni i dalej walczyli o wolność, wychodzą z cienia. W końcu mają swe groby i przywracana jest pamięć o nich.

NA NOWO OTWARTYM CMENTARZU WOJENNYM ŻOŁNIERZY NSZ W KAMESZNICY POCHOWANO 58 ŻOŁNIERZY „BARTKA". PRZEZ LATA LEŻELI ONI W BEZIMIENNYCH MOGIŁACH.

Nieudany zamach

Był początek wieku XX, pracowałem jako reporter „Dziennika Zachodniego" i dowiedziałem się o tym, że katowicki oddział Instytutu Pamięci Narodowej prowadzi śledztwo w sprawie zamordowania przez UB żołnierzy NSZ ze zgrupowania kapitana Henryka Flamego „Bartka". Zacząłem szukać jego podkomendnych. Zdobyłem m.in. telefon do Antoniego Bieguna „Sztubaka", w latach 40. dowódcy oddziału operującego na Żywiecczyźnie, luźno powiązanego z „Bartkiem".

eprasa.pl 477b630995

Zadzwoniłem. Słuchawkę podniosła jego żona, przedstawiłem się i poprosiłem o rozmowę z panem Antonim. Wtedy usłyszałem, że się spóźniłem. „Sztubak" zmarł przed kilkoma miesiącami – 10 września 2001 r. Złożyłem kondolencje i już chciałem się rozłączyć, kiedy usłyszałem, że wdowa zaprasza mnie, bym zobaczył „papiery męża".

Te „papiery" to były wspomnienia „Sztubaka". Setki zapisanych stron, maszynopisów i rękopisów. Po powrocie z Krakowa rozmawiałem jeszcze telefonicznie z kilkoma podwładnymi „Bartka" (nie byli zbyt rozmowni) oraz spotkałem się z prokuratorem IPN Przemysławem Piątkiem oraz historykiem dr. Tomaszem Kurpierzem. Miałem kapitalny materiał na reportaż. Niestety, w redakcji usłyszałem, że miejsca na tekst mam pół kolumny, czyli tyle co nic. Tekst napisałem i opublikowałem, ale temat „chodził" za mną, więc napisałem powieść opartą na dziejach zgrupowania „Bartka", którą zatytułowałem „Z cienia". Została opublikowana w wydawnictwie Fronda. Był rok 2010. O Żołnierzach Wyklętych mówiło się coraz częściej, a ich historie zaczęły stawać się coraz bardziej znane.



Gospoda w Zabrzegu, na której znajduje się tablica informacyjna

W całej tej opowieści historia Antoniego Bieguna „Sztubaka" jest bardzo ważna. Dlaczego? Ponieważ gdyby powiódł się zorganizowany przez jego ludzi zamach na „kapitana Lawinę", to być może inaczej potoczyłyby się losy żołnierzy ze zgrupowania „Bartka".

„Sztubak" dostał cynk od swoich informatorów, że do „Bartka" przeniknęło dwóch agentów i Biegun powiedział o tym Flamemu, nawet sugerował mu, że jednym z nich może być „Lawina". Do „Bartka" nie przemawiały żadne argumenty, wtedy „Sztubak" nie wytrzymał i z rozbrajającą szczerością stwierdził, że w takim razie on się zajmie ubeckimi agentami.

– Jeżeli się zajmiesz, to ja cię rozstrzelam! – odparł kapitan Flame.

„Sztubak" nie wystraszył się, ponadto odmówił wyjazdu na tzw. Ziemie Odzyskane, który organizował „Lawina". W rejonie Jeleniej Góry żołnierze „Bartka" mieli walczyć z dywersantami niemieckimi.

– Dlaczego ty i twoi ludzie nie chcecie wyjechać? – „Bartek" rzucił pytanie w kierunku „Sztubaka".

– Dopóki nie zostanie do końca wyjaśnione, kim są agenci, nie wyjadę.

– Ty masz jakieś głupie i niesprawdzone informacje.

– Nigdy nie miałem głupich informacji. Zawsze były z pewnego źródła i sprawdzone.

– Każę cię rozbroić! – zdenerwowany „Bartek" podniósł głos.

Jednak Flame tego nie zrobił, wystraszył się, ponieważ było z nim tylko kilkunastu jego ludzi, a partyzantów pod dowództwem „Sztubaka" było około stu i to oni pierwsi odbezpieczyli broń.

– Odchodzę i więcej nie chcę mieć z wami nic wspólnego, ale jeśli to jest zdrada, spotkamy się jeszcze – stwierdził Biegun i odszedł ze swoimi ludźmi.

Już się nie spotkali. Tego samego dnia „Sztubak" wydał rozkaz likwidacji „Lawiny" i „Korzenia". Ten ostatni tak naprawdę nazywał się Czesław Krupowies i w istocie również był funkcjonariuszem UB, który przedstawiał się jako porucznik NSZ. Prowokatorzy mieli zostać zastrzeleni, gdy będą schodzili z Baraniej Góry. Czekało na nich dziesięciu żołnierzy „Sztubaka", ale się nie doczekali. „Korzeń" z „Lawiną" poszli inną drogą.

„W jakiś czas potem otrzymałem od swoich wywiadowców potwierdzenie, że agentami są «Lawina» i «Korzeń». Postanowiłem ich zastrzelić. W czasie ich pobytu u «Bartka» chciałem urządzić ich likwidację przez dwóch

eprasa.pl 477b630995

kłusowników z oddziału. Nie udało się jednak" – pisał Biegun w swych wspomnieniach.

Z AK do UB

Henryk Wendrowski wtedy nie zginął. Zmarł w roku 1997. Podobno po jego śmierci wnętrza gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych oblepione były dość długo klepsydrami wspominającymi zasłużonego dyplomatę, który w 1959 r. ukończył studia na Wydziale Dyplomatyczno-Konsularnym Szkoły Głównej Służby Zagranicznej i specjalizował się we współczesnej polityce międzynarodowej. Pracował m.in. jako ambasador PRL w Danii.

W czasie wojny był żołnierzem AK na Białostocczyźnie. Gdy na tamte tereny weszła Armia Czerwona, Wendrowski przeszedł na drugą stronę barykady.

W jego aktach osobowych znajduje się opinia, którą 6 września 1945 r. wystawił mu mjr Siemionow z Armii Czerwonej:

„Obywatela Wendrowskiego Henryka [...] znam od miesiąca sierpnia 1944 r. W tym czasie on zajmował stanowisko szefa legalizacji Białostockiego okręgu A.K. i jednocześnie pełnił funkcję w Białostockim Inspektoracie i miejskim obwodzie A.K. Ja jako oficer Armii Czerwonej byłem wyznaczony [...], jako przedstawiciel na województwo Białostockie, celem prowadzenia pertraktacji o wyprowadzeniu z podziemi działaczów A.K. i innych nielegalnych organizacji. W rozmowie [...] Wendrowski został [...] przekonany o niecelowym przebywaniu w konspiracji, na co on się zgodził i okazał maksymalną pomoc w wyprowadzeniu z podziemnej organizacji szeregu innych członków A.K. W pracy był szczerym i oddanym ideiom Polski Demokratycznej [pisownia oryginalna – przyp. red.]". Po wojnie Wendrowski krótko był szefem UB w Olecku, a już w sierpniu 1946 r. przeszedł do pracy w Departamencie III Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, to właśnie wtedy zaczęła się jego „gra" z kapitanem Henrykiem Flamem „Bartkiem".

Modus operandi

Według relacji „skruszonego" ubeka Jana Zielińskiego, złożonej na początku lat 90., gdy najprawdopodobniej 6 września 1946 r. pierwszy transport kilkudziesięciu ludzi „Bartka" dotarł na miejsce likwidacji, żołnierzy NSZ poczęstowano wódką ze środkiem odurzającym.

– Zostali oni umieszczeni w przygotowanych pomieszczeniach wyłożonych słomą [...]. W nocy dowiedzieliśmy się, że rano będzie likwidacja tych osób. Wszyscy dostaliśmy przygotowane wcześniej białe opaski, które założyliśmy na lewą rękę. Opaski dostali również Rosjanie i po tych opaskach mieliśmy się rozpoznawać w ciemności. Już w nocy otoczyliśmy cały teren, a nad ranem przystąpiliśmy do akcji – mówił Jan Zieliński. – Następnie ktoś, z tym, że nie wiem kto, ale raczej ktoś z tych ruskich cywilów, wrzucił przez otwory okienne do pomieszczenia, a raczej dwóch pomieszczeń, gdzie spali ludzie „Bartka", dwa granaty...

Huk rozorał ciszę nocy. Otumanieni wybuchem i odurzeni zatrutą wódką ludzie, którzy przeżyli, lub byli lekko ranni, zaczęli uciekać. Nie mieli jednak szans na szczelnie otoczonym terenie. Zatrzymanym żołnierzom NSZ kazano się rozebrać. Każdego sprowadzono nad dół i tam mordowano. Zieliński mówił, że zabijali Rosjanie, a następnie do dołu wrzucono nieśmiertelniki, ale jakiej armii, tego były ubek nie wiedział.

„Bartek" nie pojechał „na zachód". Gdy dotarł do niego jeden z ocalonych Andrzej Bujok „Jędrek", Flame nie chciał uwierzyć, że jego żołnierze zostali zamordowani, ba, podejrzewał, że „Jędrek" jest prowokatorem. W końcu „Bartek" zdecydował się sam sprawdzić, co się stało. Z leśniczym chodził po lasach w okolicach Toszka, Dąbrówki i Barut. Po powrocie miał powiedzieć towarzyszącej mu kobiecie: „Tu leżą nasi chłopcy".

KIEROWNICTWO MINISTERSTWA BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO UZNAŁO OPERACJĘ „LAWINA" ZA WZÓR „UMIEJĘTNEGO WYKORZYSTANIA AGENTÓW W SZTABACH ORGANIZACJI".

Flame zginął zastrzelony 1 grudnia 1947 r. w restauracji w Zabrzegu obok Czechowic-Dziedzic. Strzelał do niego milicjant Rudolf Dadak. Pytany, dlaczego to zrobił, miał odpowiedzieć:

– Nie mogę znosić, by tacy wrogowie demokracji, którzy przed niedawnym czasem strzelali do milicjantów, chodzili teraz bezkarnie.

Co pchnęło Dadaka do popełnienia morderstwa? Niestety, dziś możemy jedynie snuć na ten temat domysły. Historycy nie znaleźli dokumentów, które potwierdzałyby hipotezę, że czyn Rudolfa Dadaka był zaplanowany przez bezpiekę, choć nie można tego wykluczyć.

Operacja „Lawina" była wzorcową, kierownictwo Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego uznało ją za wzór „umiejętnego wykorzystania agentów w sztabach organizacji".

Karol Nawrocki powiedział w Kamesznicy:

– Ten dzisiejszy pogrzeb, w którym jako prezydent Polski mam wielki zaszczyt uczestniczyć, jest powrotem pewnego porządku, prawdy, patriotyzmu, dbałości o polską niepodległość, o wolną, niepodległą Rzeczpospolitą Polską, i to nam oni dzisiaj przynoszą.

Warto pamiętać o słowach prezydenta RP. Warto pamiętać o tych, którzy byli zakochani w wolnej, suwerennej i niepodległej Rzeczypospolitej.

eprasa.pl 477b630995

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

STRAJK PRACOWNIKÓW Minova Ekochem



Fot. Region Śląsko-Dąbrowski/ Facebook

Dwa związki zawodowe, w tym NSZZ „Solidarność”, rozpoczęły bezterminowy strajk w trzech zakładach Minova Ekochem: w Truskolasach, Siemianowicach Śląskich i Polkowicach. Związkowcy postanowili sięgnąć po ostateczny środek nacisku, jakim jest akcja strajkowa, ponieważ od lutego nie udało im się dojść do porozumienia z pracodawcą w kwestii podwyżek wynagrodzeń.

Strona społeczna domagała się 12 proc. podwyżki z wyrównaniem od stycznia oraz wypłaty bonusu rocznego w wysokości 100 proc. miesięcznej stawki zasadniczej.

Propozycja pracodawcy była skromniejsza i zakładała podwyżki o 3,4 proc. oraz bonus na poziomie 55–60 proc. stawki zasadniczej.

Pracownicy przerwali pracę 18 maja o godzinie 6 rano.

– Strona związkowa, czyli dwie organizacje związkowe, na każdym etapie rozmów była gotowa do negocjacji. Natomiast od samego początku aż do zakończenia toku mediacji pracodawca nie był w ogóle zainteresowany dialogiem. My nadal jesteśmy gotowi do negocjacji i ustępstw, próbujemy różnymi kanałami dotrzeć do pracodawcy, ale z drugiej strony nie ma chęci do rozmów – mówiła nam w zeszłym tygodniu Katarzyna Zawadzka, przewodnicząca Komisji Podzakładowej NSZZ „Solidarność” w Minova Arnall Truskolasy.

Minova Arnall w Truskolasach zajmuje się dostarczaniem kotew do kopalni. W Minova Ekochem w Siemianowicach Śląskich produkuje się natomiast kleje, piany i środki do zabezpieczenia górotworów. Z kolei Minova-Ksante w Polkowicach dostarcza chemikalia potrzebne przy wydobywaniu miedzi. Łącznie w trzech zakładach zatrudnionych jest 277 pracowników.

eprasa.pl 477b630995


Fot. M. Żegliński

„My nie chcemy wyjść z Unii Europejskiej, my chcemy jasno powiedzieć: nie może być w Europie polityki oszukańczego Zielonego Ładu”.

Wojciech Ilnicki, szef „S” w KBW „Turów”, w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność”, 20 maja br.

W „SOLINO” BEZ ZMIAN

Od przeszło dwóch miesięcy trwa protest głodowy w „Solino”. Pracownicy prowadzą głodówkę rotacyjnie po dwie osoby. Do tej pory – od 15 marca – wzięło w niej udział już ponad 20 osób.

W rozmowie z Polskim Radiem Pomorza i Kujaw przewodniczący zakładowej Solidarności Jerzy Gawęda i jego zastępca Iwona Stachel-Góra powiedzieli, że protest głodowy zakończy się, „kiedy padną konkretne deklaracje”.

– Chodzi o wiążące postanowienia, że wejdziemy na nowe złoża i wybudowana zostanie nowa warzelnia. Deklaracja powinna mieć pokrycie w rzeczywistości, by „Solino” i Orlen podjęły działania i zrealizowały konkretną inwestycję – zaznaczyli związkowcy.

Zakładowa Solidarność napisała na Facebooku, że brak nowych złóż prowadzi do wygaszania działalności zakładu, a brak własnej warzelni prowadzi do ograniczenia produkcji. Dodała przy tym, że w „Solino” „od miesięcy nie jest przetwarzana sól spożywcza”.

– Nie wystarczą kolejne „rozważania”, które trwają od 30 lat. Potrzebne są realne decyzje i inwestycje, które zapewnią przyszłość kopalni oraz bezpieczeństwo strategicznych magazynów paliw – zaznaczyli.

– Domagamy się odpowiedzialności, dialogu i konkretnych działań. „Solino” to nie tylko miejsca pracy – to element bezpieczeństwa państwa – podkreśliła Solidarność.

PRZECIWKO POŁĄCZENIU SZPITALI

Szpital nr 2 w Mysłowicach ma zostać połączony ze szpitalem w Jaworznie. Prezydenci obu miast podpisali w kwietniu list intencyjny dotyczący konsolidacji tych placówek. Taki scenariusz nie podoba się jednak pracownikom mysłowickiego szpitala, gdzie organizacje związkowe przygotowały 12 i 13 maja referendum informacyjne.

Wzięło w nim udział 187 pracowników (blisko 66 proc. załogi), a przeciwko połączeniu placówek opowiedziało się 91 procent z nich.

– To dla nas jasny sygnał. Pracownicy wskazali, że nie chcą łączenia swojego szpitala z żadnym innym szpitalem. Dla nas, związkowców, to impuls do dalszych działań. Jesteśmy zdeterminowani, żeby o ten szpital walczyć, i mamy pewność, że pracownicy stoją za nami murem – skomentował Szczepan Nowak, przewodniczący Solidarności w szpitalu nr 2 w Mysłowicach.

Związkowcy obawiają się, że w wyniku połączenia placówek dojdzie do utraty miejsc pracy, a pacjenci stracą możliwość leczenia na miejscu.

W referendum zadano też drugie pytanie, w którym zapytano pracowników, czy są za pozostawieniem na stanowisku obecnego dyrektora szpitala w Mysłowicach oraz kontynuowaniem prowadzonych przez niego działań. „Za” opowiedziało się w tej kwestii 85 procent głosujących.

– Niestety, dyrektorowi kontrakt kończy się w czerwcu i obawiamy się, że nie zostanie on przedłużony. To, że szpital znalazł się w trudnej sytuacji, jest efektem wieloletnich zaniedbań. Nie można teraz zrzucać winy na jedną osobę – podkreśliła Anna Pakulska, wiceprzewodnicząca „S” w szpitalu.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

27.05.1981 – wyreżyserowany przez Andrzeja Wajdę film nawiązujący do strajków sierpniowych „Człowiek z żelaza” otrzymuje Złotą Palmę na Festiwalu Filmowym w Cannes;

1–6.06.1991 – IV pielgrzymka Jana Pawła II do Polski, drugi etap pielgrzymki odbył się 13–20 sierpnia 1991 r.

eprasa.pl 477b630995



GŁOS REGIONU

Rozmowy, których brakuje: CISZA W KOLORZE „BLUE”

Paweł Wysocki | Region Jeleniogórski NSZZ „Solidarność”

Jako przewodniczący widziałem już wiele. Przeżyłem spory zbiorowe, trudne negocjacje płacowe i dyskusje, które kończyły się porozumieniem dopiero po długim czasie. Wydawało mi się, że o Solidarności wiem wszystko. Ale ostatnio, gdy przechodzę korytarzem obok biurek moich najmłodszych kolegów i koleżanek, uderza mnie coś, czego nie potrafię do końca zdefiniować. To specyficzny rodzaj ciszy.

W moim pokoleniu Związek był jak rodzina – czasem trudna, głośna, ale zawsze obecna. Problemy wyrzucało się z siebie kawa na ławę. Dziś widzę młodych ludzi, którzy w pracy są profesjonalni do bólu, uprzejmi i... zamknięci. Ich niepokoje nie wybrzmiewają w kantynie. One zostają w ich głowach, wciśnięte między kolejne maile i tabelki w Excelu.

Pytam czasem: „Co u was? Jakieś problemy?”. Słyszę: „Wszystko okej”. Ale ich oczy mówią co innego. Widzę w nich zmęczenie, którego nie leczy weekend, i lęk przed przyszłością, którego nie uśmierza kolejna premia. To są te rozmowy, których brakuje.

Muszę to przyznać przed samym sobą: nie zawsze rozumiem ich spojrzenie na Związek. Dla nich legitymacja w portfelu to często abstrakcja. Oni nie szukają barykad. Szukają sensu, balansu i bezpieczeństwa psychicznego. My walczyliśmy o godną płacę; oni walczą o to, by praca nie zabrała im całego życia.

Ta różnica perspektyw tworzy mur. Ja mówię o „statucie”, oni o „well-beingu”. Ja myślę o „strukturach”, oni o „relacjach”. I choć cel mamy ten sam – godne życie – to nadajemy na zupełnie innych falach.

Jeśli związek zawodowy ma być dla młodych sprzymierzeńcem, musimy nauczyć się słuchać tego, co zostaje niewypowiedziane. Psychologia uczy, że najgroźniejsze są konflikty ukryte. To one prowadzą do wypalenia, do cichych odejść (tzw. quiet quitting), do poczucia osamotnienia w tłumie współpracowników.

Moim zadaniem jako przewodniczącego nie jest już tylko pilnowanie Kodeksu pracy. Muszę stać się tłumaczem. Muszę zrozumieć, że dla 25-latka rozmowa o stresie jest tak samo ważna, jak dla mojego rówieśnika rozmowa o dodatku stażowym.

Różnica perspektyw tworzy mur. Ja mówię o „statucie”, oni o „well-beingu”. Ja myślę o „strukturach”, oni o „relacjach”. I choć cel mamy ten sam – godne życie – to **nadajemy na zupełnie innych falach**.

Mądry pracodawca nie boi się dialogu. Ale my, związkowcy, też nie możemy się go bać – zwłaszcza tego wewnętrznego, z nowym pokoleniem. Związek to nie tylko „my”, którzy jesteśmy tu od lat. To także „oni”, którzy dopiero wchodzą do firmy ze swoimi lękami i nadziejami.

Może warto usiąść przy kawie i zamiast pytać o „składki”, zapytać po prostu: „Co sprawia, że rano trudno ci wstać do pracy?”. Bo prawdziwa Solidarność zaczyna się tam, gdzie kończy się lęk przed byciem usłyszanym.

Związek nie jest końcem rozmowy. Jest jego początkiem. Nawet jeśli ten początek wymaga od nas, starszych, nauki zupełnie nowego języka.

„Największym problemem w komunikacji jest to, że nie słuchamy po to, by zrozumieć, lecz po to, by odpowiedzieć”. S

Rubryka „Głos Regionu” będzie ukazywać się cyklicznie w „TS”. Zapraszamy inne regiony NSZZ „Solidarność” do nadsyłania własnych propozycji.

eprasa.pl 477b630995

PRAWO

Klient nie płaci? SĄ SZYBSZE DROGI NIŻ SĄD!

Wystawiłem fakturę na 18 000 zł za usługi IT. Termin płatności minął dwa tygodnie temu. **Kontrahent przestał odbierać telefon**, a na e-maile odpowiada tylko: proszę o cierpliwość. Czy naprawdę jedyną drogą do rozwiązania tej sprawy jest wieloletni proces sądowy?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Takie pytanie jest bardzo częste w praktyce obrotu gospodarczego. I choć intuicyjna reakcja przedsiębiorcy prowadzi zwykle do pozwu, nie zawsze jest to rozwiązanie ani pierwsze, ani najszybsze. Brak zapłaty faktury nie oznacza automatycznie konieczności wchodzenia w długotrwały spór sądowy. Kluczowe znaczenie ma kolejność działań i ich formalizacja. W wielu przypadkach to właśnie odpowiednia sekwencja kroków decyduje o tym, czy należność zostanie odzyskana szybko, czy dopiero po wielu miesiącach.

Pierwszym krokiem powinno być profesjonalne wezwanie do zapłaty. Nie może ono ograniczać się do przypomnienia o zaległości. Powinno mieć charakter przedsądowy i jednoznacznie wskazywać wysokość roszczenia, jego podstawę, termin zapłaty oraz konsekwencje braku reakcji. W praktyce istotne jest również naliczenie odsetek ustawowych za opóźnienie w transakcjach handlowych oraz rekompensaty za koszty odzyskiwania należności w wysokości 40, 70 lub 100 euro, wynikającej z implementacji dyrektywy 2011/7/UE. Już sama świadomość narastających kosztów często działa mobilizująco na dłużnika. Jeżeli wezwanie nie przynosi efektu, nie zawsze konieczne jest natychmiastowe kierowanie sprawy do klasycznego procesu cywilnego. W praktyce dużą rolę odgrywa elektroniczne postępowanie upominawcze prowadzone przez e-sąd w Lublinie. Umożliwia ono uzyskanie nakazu zapłaty na podstawie pozwu składnego online, bez rozprawy i w relatywnie krótkim czasie. W przypadku braku sprzeciwu dłużnika nakaz staje się tytułem egzekucyjnym.

Alternatywą pozostaje postępowanie nakazowe lub upominawcze przed sądem właściwości ogólnej. Ma ono znaczenie zwłaszcza wtedy, gdy wierzyciel dysponuje mocnymi dowodami, takimi jak podpisana umowa czy potwierdzenie wykonania usługi. W takich przypadkach sąd może wydać nakaz zapłaty bez pełnego postępowania dowodowego, co znacząco skraca czas sprawy. W całym tym procesie kluczowe jest jednak myślenie egzekucyjne. Już na wczesnym etapie należy ocenić, czy dłużnik posiada majątek, z którego realnie można prowadzić egzekucję. Sam wyrok nie oznacza jeszcze odzyskania pieniędzy. Dopiero egzekucja komornicza daje taki efekt. W praktyce oznacza to konieczność weryfikacji aktywów kontrahenta, jego rachunków bankowych, nieruchomości oraz faktycznej aktywności gospodarczej. Doświadczenie pokazuje, że przedsiębiorcy najczęściej popełniają dwa błędy: zbyt długo zwlekają z reakcją oraz koncentrują się wyłącznie na uzyskaniu orzeczenia, bez oceny jego wykonalności. Tymczasem skuteczność odzyskania należności zależy zarówno od szybkości działania, jak i od przygotowania sprawy pod egzekucję.

Sąd nie musi być pierwszym krokiem. W wielu przypadkach jest elementem szerszej strategii, która zaczyna się od wezwania do zapłaty, przechodzi przez postępowanie uproszczone, a kończy na egzekucji. Właściwie dobrana kolejność działań sprawia, że odzyskanie należności może być znacznie szybsze, niż się powszechnie zakłada. S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 477b630995

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA



Nasi autorzy

Bartosz Boruciak (Nie chcę..., s. 52),
w „TySolu" od 2018 roku. Trzyma rękę na pulsie nierzadko chimerycznej kultury popularnej. Gospodarz rubryki „Mix płyt". Autor naszych cotygodniowych rozmów z artystami.

Krzysztof Karnkowski (Rewanż..., s. 22),
doktor socjologii, publicysta, współpracownik „Tygodnika Solidarność", wokalista punkrockowego zespołu Spirit of 84, twórca internetowy.

Marek Nowakowski (Nawet..., s. 30),
jeden z najważniejszych prozaików polskiej literatury powojennej, mistrz małych form narracyjnych, twórca realizmu peryferyjnego, świetny obserwator rzeczywistości, którego literacko inspirowały półświatek i peryferyjność. Europejski rozgłos przyniósł pisarzowi tom „Raport o stanie wojennym" (1982–1984). Z „Tygodnikiem" współpracował w latach 80. i 90.

Remigiusz Okraska (Lewicowa..., s. 5),
publicysta i działacz społeczny. Współtwórca i redaktor naczelny pisma „Nowy Obywatel". Jego felietony ukazują się w „Tygodniku Solidarność" od 2024 roku.

Ludwik Pęzioł (Epoka..., s. 18),
autor podcastu i kanału „Radykalny Pasywista". Na kanale YouTube „Tygodnika Solidarność" prowadzi program „Pokój socjalny" (razem z Krzysztofem Karnkowskim). W Tysolu od roku 2024.

Tomasz Winiarski (Gospodarka..., s. 48),
dziennikarz od spraw amerykańskich, korespondent telewizyjny i radiowy. Współprowadzący kanał „(Nie)Poprawny Dyplomata".

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 477b630995

SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

My mamy wspólne wartości,

a Wy?



asa.pl 477b630995



230 TYS.
UCZESTNIKÓW MANIFESTACJI

#RAZEMDLAPOLSKIIPOLAKÓW

DZIĘKUJEMY!

eprasa.pl 477b630995